PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM I

obejmujący
zeszyty 1—6

oraz
Album portretów
Serja I.

CENA zł. 3.

......

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Kielce. Ul. Duża od pl. Panny Maryi.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1921 r.

Zeszyt 3.

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

IV.

Szkolne czasy moje w Kielcach.

(r. 1856 do 1864 r.).

Warszawska Komisja rządowa sprawiedliwości, odezwą z dnia 18 marca 1856 r., uwiadomiła ojca mego w Stopnicy, że Rada administracyjna Królestwa polskiego, decyzją z dnia 7 marca t. r., przeznaczyła go na asesora Trybunału cywilnego w Kielcach, z płacą roczną rubli 390. Wkrótce potem prezes rzeczonego trybunału p. Kosicki, pismem z dnia 8 kwietnia t. r., wezwał ojca, aby przybył objąć powierzone mu obowiązki. Po załatwieniu formalności zdania urzędu swego w Stopnicy, ojciec mój udał się niezwłocznie do Kielc.

Miasto Kielce, położone w ślicznej okolicy, otaczają wyniosłe góry, malownicze doliny, strome skały, rozległe lasy iglaste, wartkie strumienie i liczne źródła o przeczystej wodzie.

Cały obszar powiatu kieleckiego stanowi jedną z najbardziej wyniosłych części b. Królestwa Polskiego. Jej strona zachodnia jest pagórkowato-falista. Równin niema tam prawie wcale. Do największych wyżyn, zarówno w tym powiecie jak wogóle w granicach Królestwa należą tu Góry świętokrzyskie czyli Łysogóry, z najwyższym szczytem Łysicą (611 metrów nad poz. morza). Pasmo tych gór, położone w północno-wschodnim kącie powiatu kieleckiego, zajmuje znaczny obszar i pokryte jest odwiecznym borem jodłowym, świerkowym i bukowym po części. Na większych szczytach widnieją miejsca puste, pokryte olbrzymiemi złomami kwarcytu kambryjskiego, tak zwane „gołoborza". Od południowych stoków Łysogór ciągnie się okolica równie górzysta bez wyraźnych pasm górskich. Oddzielne wyniosłości, nieraz dość znaczne noszą zwykle nazwy wsi pobliskich, jak Góry cisowskie, daleszyckie i t. p. Dalszy ciąg Łysogór, przedzielony od nich doliną Czarnej Nidy, stanowią Góry masłowskie, również wyniosłe lecz niezalesione, oraz Góry krzemienne (1377 stóp nad p. m.) przy szosie kielecko-warszawskiej na północ od Kielc niedaleko Zagnańska. Na południe od Kielc ciągną się Góry kieleckie z oddzielnemi wyniosłościami, jak Kadzielnia, Karczówka i in. Jeszcze dalej na południe leży pasmo

Gór dymińskich ze szczytem t. zw. Telegrafu (1350 stóp) Zgórskich i Posłowskich. Na południo-zachodzie powiatu widnieją urwiste nagie stoki Gór chęcińskich, o przeciętnej wysokości 1000 stóp. Wśród nich wznoszą się szczyty osobne: Góra zamkowa (stóp 1137), Żelejowska (stóp 1115), Zygmuntówka, Miedzianka i inne.

Zręby i szczyty owych pasm górskich stanowią skały i pokłady najstarszych utworów geologicznych: kambryjskish, sylurskich, dewońskich, permskich i innych, które tworzą tu rozległą prastarą wyspę paleozoiczną, z wielkiem bogactwem minerałów i mnóstwem pierwotnych skamieniałości, ową prawdziwą rozkoszą lubowników naszego ziemioznawstwa.

Kielce, otoczone malowniczemi górami, leżą w dolinie rzeczki Silnicy dopływu Bobrzka, który wpada do Czarnej Nidy o parę mil, niedaleko od wspaniałych ruin zamku chęcińskiego. Bobrzek z dopływami swojemi zajmuje środkową część powiatu kieleckiego. Śliczne są tu doliny, łąki barwne i lasy bujne wśród wzgórz stromych niekiedy skalistych, mianowicie koło Zgórska i Słowika między Kielcami a Chęcinami.

Same Kielce, położone na wysokiem wzgórzu, choć w owe czasy niewielkie jeszcze miasto powiatowe o 5000 ludności, przedstawiały się okazale, mianowicie od strony szosy krakowskiej, ze swym wyniosłym kościołem katedralnym i starym zamkiem pobiskupim, w którym się mieścił trybunał cywilny.

Przy wjeździe do miasta szosą i ulicą Krakowską zieleni się tam bujny ogród publiczny. Naprzeciw niego gmach seminarjum duchownego, kościół św. Trójcy i dawne gimnazjum. Wielka brama ówczesna, wpoprzek ulicy przy Katedrze, została później zburzona. Za bramą mały rynek łączą z rynkiem głównym dwie krótkie ulice równoległe do się: Mała i Duża. Obie przecina wpośrodku prostopadle szeroka i długa ulica Pocztowa, (nazwana później Kolejową), ciągnąca się od kościoła ewangelickiego do rzeczki Silnicy. Ulicę Pocztową przecina prostopadle również długa lecz mniej szeroka ulica Wesoła.

Ojciec przybywszy ze Stopnicy do Kielc, w kwietniu 1856 roku, dla objęcia urzędu asesora Trybunału cywilnego, najął mieszkanie przy ulicy Pocztowej na rogu ulicy Wesołej w domu Fogta, na pierwszem piętrze, w sąsiedztwie dużego ogrodu owocowego.

Mama, przepędziwszy lato ze mną i resztą rodzeństwa na wsi w Zagórzu pod Miechowem u swoich rodziców, przybyła z nami do Kielc na nowe mieszkanie już odświeżone i urządzone jako tako narazie. Ojciec sprzedawszy swój domek z ogrodem w Stopnicy, zebrał fundusz na kupno mebli do salonu, oraz innych sprzętów domowych, których ze Stopnicy nie zabrano.

Do mieszkania naszego z ulicy Pocztowej wchodziło się przez bramę główną, na piętro po schodach naprawo. Z dużej

sieni drzwi nalewo prowadziły do pokoju jadalnego o jednem oknie od podwórza. Obok przylegał obszerny pokój o dwóch oknach frontowych, zajęty na sypialnię i pracownię ojca. Pokój środkowy sąsiedni też o dwóch oknach od ulicy, położony nad bramą, a przez to nieco zimny, obrócono na salon bawialny. Dalszy pokój od frontu o dwóch oknach, zajęty został na sypialnię mamy z dziećmi młodszemi. Ja sypiałem w pokoju jadalnym obok pracowni ojca. Z salonu bawialnego środkowego były drzwi do sieni, z których wchodziło się do kuchni, mającej też wyjście osobne na schody boczne. Czwarte drzwi z sieni wiodły na długi ganek drewniany z balaskami, otaczający całe piętro od podwórza, co ułatwiało komunikację z innemi sieniami domu i pozwalało wietrzyć pościel, dywany i inne rzeczy bez noszenia ich na dół. W podwórzu, prócz składów gospodarczych, drwalni i t. p., od strony sąsiedniego ogrodu rozciągał się magazyn murowany zajęty na skład broni i innych rzeczy wojskowych; dla tego przy bramie domu naszego dniem i nocą stał na warcie żołnierz i miał budkę drewnianą dla schronienia przed słotą.

Naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie ulicy Pocztowej, był duży plac pusty, na którym odbywały się mustry i ćwiczenia wojskowe, a czasem grywała przy tem muzyka. Za placem od ulicy Wesołej były stajnie konnicy. Po drugiej stronie obok placu ciągnął się ładny ogród i dom Biura poczty. W dalszym ciągu za pocztą na końcu ulicy widniała wysmukła wieżyca kościoła ewangelickiego i plebanja pastora z ogrodem. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, duży narożny dom piętrowy z oficynami i rozległym dziedzińcem oparkanionym wokoło, mieścił zakład naukowy 4-klasowy prywatny Hermana Hillera. Była to moja pierwsza uczelnia.

Ojciec, przybywszy do Kielc na wiosnę w kwietniu, miał czas do jesieni rozpatrzeć się w stosunkach tamtejszych i zbadać je dokładnie dla zrobienia wyboru co do mego dalszego kształcenia. Szkoła wyższa realna rządowa była przepełniona, zwłaszcza w klasach niższych, z powodu taniej opłaty w klasie I do IV-tej po ośm rubli rocznie. Bywało tam po stu i więcej uczniów w klasie I i następnych, mianowicie do IV-tej, na której wielu uczniów poprzestawało, przechodząc do seminarjum duchownego lub do zajęć praktycznych w gospodarstwie wiejskiem, w urzędowaniu i t. p. Dopiero od klasy V i VI, przy opłacie rocznej rb. 15, mniej bywało tam uczniów, wszelako zawsze po kilkudziesięciu. Przytem poziom moralny i nadzór pedagogiczny w owej szkole rządowej był dosyć słaby.

Przeciwnie w zakładzie prywatnym 4-klasowym Hillera, przy wysokiej opłacie rocznej 60 do 75 rubli, mniej dostępnym, klasy nie były przepełnione, liczyły bowiem tylko po 20 do 30 uczniów średnio. Przytem przełożony, energiczny a bardzo dbały

o wzorowy porządek zakładu i sprawowanie uczniów, dokładał wszelkich starań, aby zasłużyć na dobrą renomę. Ułatwiali mu to zadanie dwaj nauczyciele języków francuz i niemiec, mieszkający stale w zakładzie i dyżurujący dnie całe naprzemian. Nauka też języków stała tam o wiele wyżej, zwłaszcza nowożytnych, przy konwersacji obowiązu'ącej uczniów jednego dnia francuskiej, drugiego niemieckiej naprzemian. To też ojciec mój mimo swej szczupłej pensji i wyższej opłaty, postanowił oddać mię na naukę do tej szkoły prywatnej.

W piękny słoneczny dzień na początku września, poszedł ojciec ze mną zapisać mię do zakładu p. Hillera. Zastaliśmy go w kancelarji na piętrze, mieszczącej się w niedużym jasnym gabinecie, przy stole założonym księgami i papierami. Przyszły mój przełożony, człowiek w średnim wieku, brunet o ciemnych wąsach i bystrem spojrzeniu, niewysoki krępy, przyjął nas uprzejmie z wesołym uśmiechem. Po objaśnieniach ojca o mojem przygotowaniu, zapisał mię na ucznia klasy I, i wydał kwit na opłatę szkolną złp. 40 za pierwszy miesiąc. Opłata całoroczna w klasie I za 10 miesięcy szkolnych wynosiła przeto złp. 400 czyli 60 rubli od uczniów przychodnich. Pensjonarze mieszkający i stołowani w zakładzie płacili znacznie więcej. A było ich kilkudziesięciu, podobnie jak przychodnich. Była tam i klasa wstępna, do której przyjmowano chłopców młodszych i mniej przygotowanych. Ja miałem podówczas lat 10, byłem przygotowany starannie i dość uzdolniony.

Po zapisie szkolnym ojciec zakupił mi książki potrzebne do klasy I, oraz materjały piśmienne w księgarni Możdżeńskiego przy ulicy Dużej. Książki i kajety wówczas były dosyć drogie (jak to widać z zapisek w „Księdze wydatków" domowych mego ojca). Komplet książek szkolnych do klasy I kosztował przeszło 40 złp. W tem np. „Gramatyka łacińska" Trojańskiego zł. 6 gr. 20 czyli rubla, „Ćwiczenia i rozmowy niemieckie" zł. 5. Kajety po 20 i 25 groszy, bruljonowe po gr. 18, libra papieru 15 gr., ołówek 6 gr, rajzbret z linją 2 zł., paczka 24 piór gęsich gr. 15. Oprawa książek szkolnych była niedroga. Ubranie i obuwie moje w Kielcach kosztowało znacznie więcej niż dawne dziecięce w małych miasteczkach. Mianowicie para butów zł. 8 do 15, kalosze 10 zł., spodnie sukienne zł. 18, drugie zł. 26 gr. 20, surducik 60 zł, czapka 5 zł., rękawiczki 3 zł.

Wkrótce po tych zakupach i przygotowaniach zacząłem chodzić do szkoły bardzo punktualnie. Lekcje odbywały się od godziny 8 rano do 12, a po południu od 2 do 4. We czwartki po południu była co tydzień tak zwana rekreacja, t. j. że lekcji zwykłych nie było. Do szkoły z domu było niedaleko, zaledwie paręset kroków. Pensjonat Hillera zajmował cały dom na rogu ulicy Pocztowej (tej samej przy której było nasze mieszkanie) i małej przecznicy zwanej później ul. Hipoteczną Klasa I mie-

ściła się tam na dole, w obszernym jasnym pokoju o trzech oknach dosłonecznych, do którego prowadził korytarz z sieni głównej z dużemi drzwiami wchodowemi od ulicy Pocztowej, naprzeciw kościoła ewangelickiego. Pokój ten był czysto obielony, podłoga świeżo umyta. Kilkanaście ławek szkolnych ciemno malowanych z kałamarzami krytemi, duża tablica czarna z gąbką i kredą, stolik i krzesło dla nauczyciela stanowiły całe umeblowanie.

Kilkunastu małych koleżków z miasta i tyluż ze wsi pensjonarzy zapoznało się łatwo między sobą i wkrótce stanowiło wesoły światek całkiem nowy. Zaraz pierwszego dnia przełożony nasz p. Hiller, bardzo poważny, z księgą uczniów w ręku, w towarzystwie nauczyciela języka francuckiego p. Pfadta, przyszedł do naszej klasy. Po krótkiej modlitwie szkolnej i stosownej przemowie, usadził uczniów w porządku alfabetu nazwisk. Więc kolejno zajęli miejsca koledzy:

1. Bierzyński Aleksander z Kielc.
2. Borkiewicz Seweryn — i jego brat młodszy
3. Borkiewicz Stefan, ze wsi obadwaj.
4. Bukowiecki Szczepan, ze wsi.
5. Chronowski Eustachjusz z Kielc.
6. Czaplicki Henryk ze wsi
7. Czernik, także ze wsi.
8. Godlewski Mścisław ze wsi Kępia w Miechowskiem.
9. Godlewski Emil brat młodszy poprzedniego.
10. Holewiński Feliks syn adwokata z Kielc.
11. Kalinka Adam „ „ „
12. Kliem Emil syn zarządzającej pensjonatem.
13. Krzyżkowski Zygmunt syn adwokata z Kielc.
14. Lembke Alfred syn pastora kieleckiego.
15. Libiszewski ze wsi.
16. Lipiński Adam ze wsi.
17. Mayzel Władysław ze wsi Dobrowa.
18. Mieszkowski Mieczysław syn rejenta z Kielc.
19. Morstin ze wsi Kobylnik w Szkalbmierskiem.
20. Newelski Stanisław syn sędziego z Kielc.
21. Newelski Ignacy brat młodszy poprzedniego.
22. Plewako Alfred ze wsi.
23. Plewako Zenon brat młodszy poprzedniego.
24. Przyborowski Walery z Kielc.
25. Przyłęcki Bolesław ze wsi.
26. Russocki Maksymiljan ze wsi
27. Romiszowski Michał z Kielc.
28. Saski Bronisław syn aptekarza z Kielc.
29. Zarzycki Henryk ze wsi z Sandomierskiego.
30. Zarzycki Wacław starszy brat poprzedniego.

Wykaz powyższy (o ile mię pamięć po tak długich latach gdy to piszę w r. 1916 nie myli) jest dosyć dokładny. Z owych

30 kolegów moich było 12 przychodnich z miasta Kielc; reszta 18 byli pensjonarzami mieszkającymi w zakładzie, jako synowie przeważnie zamożnych obywateli wiejskich z okolic bliższych i dalszych.

Plan nauk klasy I stopniowo z każdym dniem wchodził w wykonanie w całej rozciągłości. W zakładzie Hillera wykładali ci sami nauczyciele co w szkole realnej rządowej.

Naukę religji prowadził ksiądz Franciszek Brudzyński. Wysoki, szczupły blondyn ciemny, w okularach, w sutannie czarnej opiętej, wydawał się jeszcze wyższym. Jako prefekt w szkole realnej i kanonik bardzo poważny budził w malcach poszanowanie, ale naukę traktował sucho i szablonowo. Za podręcznik służył tu jak zwykle jakiś „Mały katechizm", podzielony na rozdziały z mnóstwem szczegółów ponumerowanych z pytaniami i odpowiedziami, których uczeń musiał wyuczać się na pamięć dosłownie, nie zawsze rozumiejąc rzecz i treść.

Nauka języków była tam traktowana nieco lepiej, szerzej i przeważnie praktycznie.

Język polski wykładał p. Rajmund Duchnowski, szczupły, małomówny, zawsze pochylony nieco, w czarnej rotundzie bez rękawów i małym kapeluszu t. zw. cylindrze na głowie Początki gramatyki, dyktanda i ćwiczenia głównie ortograficzne, czytania z „Wypisów polskich" stanowiły jego cały program.

Języka ruskiego uczył bardzo umiejętnie i z dobrą metodą p. Jezierski, polak, w średnim wieku, poważny i taktowny. Obok gramatyki i ćwiczeń piśmiennych, w czytaniu główny nacisk kładziony był na akcent prawidłowy, oraz na dobrą pisownię.

Łaciny początki wykładał pastor Lembke, mieszkający naprzeciwko naszej szkoły obok kościoła ewangelickiego, zawsze wesoły i uśmiechnięty. Prócz początków gramatyki i tłomaczenia na polski, w robocie było też „Tirocinium linguae latinae", z tekstem zaczynającym się od „Terra est rotunda et globosa".— „Lupus est crudelis, rapax et insatiabilis" i t. p.

Języka francuskiego nauczał p. Pfadt, energiczny alzatczyk, średniego wzrostu, z wąsami i długą bródką „hiszpanką" à la Napoleon III. Za podręcznik służyła stara ale dobra gramatyka francuska Noëla i Chapsala z mnóstwem reguł i odmian, a także „Rozmowy pani Boquel" zadawane w dużych porcjach do wyuczenia na pamięć.

Niemieckiego nauczał p. Sobczyk polak ślązak władający dobrze niemczyzną. Pan Sobczyk i francuz Pfadt mieszkali w zakładzie p. Hillera i dyżurowali naprzemian całodziennie, przestrzegając aby uczniowie rozmawiali między sobą stale jednego dnia po niemiecku drugiego po francusku. Tym sposobem przyswajano tam sobie praktycznie i szybko oba języki nowożytne. Za każdą rozmowę po polsku uczeń miał zadawaną całą stronicę „Rozmówek" do wyuczenia się na pamięć i wyre-

cytowania przed nauczycielem dyżurnym. Sam przełożony przestrzegał tego bardzo ściśle.

Arytmetykę wykładał p. Rogalewicz Antoni, wysoki brunet w średnim wieku, nauczyciel poważny i zdolny. W klasie I-ej przechodził początki arytmetyki, cztery działania, liczby wielorakie i mnóstwo zadań praktycznych do wykonania na lekcjach i w domu w kajetach czysto pisanych z linjami.

Geografję p. Święcicki Hipolit, człowiek niemłody już i rutynista, nie wykładał lecz „zadawał" po kawałku do wyuczenia się na pamięć, bez żadnych objaśnień z suchego podręcznika „Geografji powszechnej" Ansarta. Była to książczyna tłomaczona z niemieckiego, w najwyższym stopniu niepedagogiczna. Zaczynała się od geografji matematycznej opisującej abstrakcyjnie linje główne i koła geometryczne budowy kuli ziemskiej i sfery niebieskiej, koła biegunowe, zwrotniki, równiki, równoleżniki, południki i t. d. w sposób całkiem niezrozumiały dla uczniów bez żadnych objaśnień. Nauczyciel nie zadając sobie trudu wykładu ustnego, bez globusu ni rysunków pomocniczych, wymagał wyuczenia się tekstu na pamięć dosłownie. Takie „kucie" pamięciowe rzeczy niezrozumiałych dla początkujących, doprowadzało nawet najchętniejszych poprostu do rozpaczy. Dopiero dalsza nauka geografji opisowej części świata i krajów poszczególnych, przy pomocy atlasów szkolnych, i rysowanie ręczne mapek kolorowanych, doprowadzało nieco do równowagi małych miłośników krajoznawstwa.

Kaligrafja wreszcie i nauka rysunków prowadzona z wielkim zamiłowaniem przez p. Szymona Górnickiego, pedagoga bardzo starannego i łagodnego, były prawdziwem wytchnieniem i miłem zajęciem po trudach i mozołach innych lekcji.

W klasach następnych wyższych II, III i IV w zakładzie Hillera nauczali jeszcze: języka polskiego p. Przeorski, języka łacińskiego i niemieckiego p. Kroemer, historji powszechnej p. Święcicki, nauk przyrodniczych p. Plewiński, arytmetyki i solidometrji p. Feliks Wermiński, geometrji i algebry p. Rogalewicz.

Ład i porządek na lekcjach w uczelni Hillera panował wogóle wzorowy. Drobne wykroczenia uczniów zdarzały się rzadko. Małe wybryki swawoli były narazie karane pokutą stania lub klęczenia na środku sali szkolnej, co było uważane za bardzo przykre i czego swawolnicy starali się unikać. Spokój podczas lekcji pozwalał na stałe skupienie uwagi. Kto miał szczere chęci mógł tam korzystać wybornie z nauki i czynić postępy. Co kwartał wydawano świadectwa czyli cenzury z oznaczeniem stopni z każdego przedmiotu wykładanego, i według nich usadzano nas w ławkach.

Należałem zwykle do uczniów przodujących i zasiadałem zawsze na pierwszej ławie, blisko katedry nauczycielskiej i tablicy klasowej. Było to korzystne ze względu na słuchanie wy-

kładu i objaśnień, oraz na obserwację rysunków kredowych na tablicy z całą uwagą bez przeszkód. W dalszych bowiem ławkach mniej pilni uczniowie przeszkadzali sobie wzajemnie przepowiadaniem niedouczonych lekcji, szeptami, lub nawet niesfornemi figlami. Od czasu do czasu przełożony nasz wchodził podczas lekcji zwykle tylnemi drzwiami do klasy pocichu niepostrzeżony i nagle zjawiał się przy katedrze. Z miną surową i wejrzeniem ostrem ferował wyroki kar doraźnych na niesfornych figlarzy przyłapanych na gorącym uczynku. Modna jeszcze w owych czasach rózeczka, pomimo dobrotliwej rady Ducha świętego, była u nas bardzo rzadko stosowana i tylko w razach wyjątkowo ważnych. Np. w wypadku wzniecenia na strychu szkoły pożaru (ugaszonego zresztą szczęśliwie naprędce) gdy jeden amator papierosików pokryjomu palił, a słysząc kroki kogoś wchodzącego na górę, rzucił niedopałek między sienniki zapasowe i umknął.

Zresztą między lekcjami w przerwach i po lekcjach panował w całym zakładzie nastrój swobodny i wesoły. W czasie wolnym gimnastyka, gry sportowe, głównie w piłkę, stanowiły ogólną rozrywkę. Ulubioną grą w piłkę był tak zwany palant, zabawa zbiorowa w dwie partje zwalczające się wzajem, bardzo ruchliwa i ożywiona. Na przechadzkach gromadnych całego pensjonatu w okolice miasta pod opieką nauczycieli francuza i niemca, grano w tak zwaną ekstrę na dużą metę, urządzano wyścigi piesze i t. p.

Krom tego chodziłem z ojcem, zwykle po południu, często na przechadzkę do pięknego ogrodu miejskiego obok Zamku, lub za miasto szosą krakowską na skalistą górę Kadzielnię. W niedziele i święta przy wolniejszym czasie na dalsze przechadzki na gorę Karczówkę pokrytą bujnym lasem sosnowym, ze starym kościołem i klasztorem bernardynów na szczycie. Czasem zwiedzaliśmy wnętrze kościoła, a po wypoczynku i szklance mleka we wsi Czarnowie u stóp góry, wracaliśmy do domu.

Wieczorami przepowiadałem lekcje z podręczników, robiłem zadania i ćwiczenia w pracowni ojca na jednym stole. Ojciec obłożony aktami sądowemi odrabiał swoje referaty i relacje, a w razie potrzeby pomagał mi w trudniejszych zadaniach matematycznych i udzielał objaśnień językoznawczych z słownikami różnemi.

Przy herbacie wieczornej zasiadaliśmy do stołu z rodzicami i młodszem rodzeństwem: Marynią sześcioletnią i pięcioletnim Władziem. Ich też, podobnie jak mnie dawniej, mama uczyła początków czytania i rachunków. W niedziele szliśmy z mamą razem do kościoła na mszę wczesną koło godziny 9-ej. W dnie powszednie mama zwykle sama, prawie codzień wcześnie szła na ranną mszę, a potem zabierała się do swoich

zajęć domowych i gospodarczych. Pracowita była bardzo i czynna nieustannie; tembardziej, że przy niedużej pensji ojca (390 rubli rocznie) i szczupłych zasobach, musieliśmy żyć oszczędnie. Wielką pomocą wprawdzie były zasiłki od rodziców mamy: procent posagowy, oraz wiktuały przywożone ze wsi całemi furami, zwykle w jesieni, różne jarzyny, ogórki kiszone, masło, sery, jaja, drób i t. p.

Rachunki domowe w „Księdze wydatków" prowadził ojciec w Kielcach przez rok 1856, 1857 i wiosnę 1858 r. Dalej mozolna praca sądowa, wyjazdy i podróże letnie były na przeszkodzie w zapisywaniu stałem drobnych wydatków codziennych.

Za mieszkanie pierwsze w domu Fogta przy ulicy Pocztowej na pierwszem piętrze, złożone z 4-ch pokoi z przedpokojem, kuchnią, piwnicą, drwalnią i górą, w latach od 1856 do 1858, płacił ojciec stosunkowo niedrogo: kwartalnie złp. 225 (rubli 33 kop. 75) czyli rocznie zł. 900 (rubli 135).

Znaczny stały wydatek stanowiła opłata szkolna za mnie złp 400 (rb. 60) rocznie, t. j. 40 zł. miesięcznie w klasie I-ej w zakładzie Hillera; w klasie II i następnych zł. 50 miesięcznie czyli 500 zł. rocznie.

Mamie na wydatki codzienne dawał ojciec co miesiąc na 1-go 100 zł., dodając niekiedy po kilkadziesiąt złotych w razie potrzeby. Niektóre wiktuały kupował ojciec osobno. W Kielcach podówczas kosztował funt herbaty dobrej złp. 20, kawy 2 zł., cukru zł. 1 gr. 24, oliwy flaszeczka zł. 1, butelka wina węgierskiego zł 5, piwa 26 gr., wódki zł. 3 gr. 15, araku zł. 9, okowity garniec zł. 6 gr. 9, ziemniaków korzec 6 zł.

Opał w lesistej okolicy Kielc był tani: sąg drzewa sosnowego w latach 1856 — 8 kosztował tam złp. 10, furka drzewa zł. 4½ do 5½, sąg drzewa twardego płaciło się 12 zł.

Do oświetlenia używano wówczas zwykle lamp olejnych. U nas była lampa mosiężna ze zbiornikiem oleju z jednej strony, z drugiej był palnik z kominkiem szklanym i daszkiem mlecznym. Oleju wychodziło sporo, zwłaszcza w zimie przy długich wieczorach i pracy nocnej do godziny 9 lub 10-ej. Garniec oleju kosztował zł. 10 gr. 15. Do użytku podręcznego służyły też świece stearynowe, po zł. 2 gr. 5 za funt. Wosku funt kosztował zł. 2 gr. 20. Zapałek pudełko 10 gr.

W Kielcach podobnie jak dawniej, rodzice trzymali dwie służące: kucharkę i niańkę do dzieci mniejszych, co nie było zbyt kosztowne przy ówczesnej taniości produktów spożywczych i dowozie ich ze wsi od naszych dziadków bezpłatnie. Służące brały zasługi miesięcznie zł. 5 do 6 gr. 20, czyli rocznie rubli 9 do 12. Prócz tego codzień rano przychodził młody woźny sądowy obsłużyć ojca i mnie, płatny za to po 2 ruble miesięcznie. (Teraz, gdy to piszę w r. 1916, w miasteczku powiatowem Miechowie, służąca zwykła bierze miesięcznie około 3 ruble, ku-

charka dobra 5 rubli, t. j. rocznie rubli 36 do 60 prócz życia i mieszkania; posługaczka lub posługacz przychodni płaci się podobnież około 3 rb. na miesiąc) Zwyczajowe kolendy noworoczne w Kielcach dawało się zarówno służącym jak i różnym oficjalistom przychodzącym z powinszowaniami I tak: woźnym sądowym około 6 złp, pocztyljonom 2 zł., kominiarzom 1½ zł. i t. p.

Życie towarzyskie w Kielcach rozwijało się głównie zimą i w karnawale. Sfery sądowe z prezydjum Trybunału cywilnego na czele, sfery ziemiańskie z dyrekcją Towarzystwa kredytowego, wreszcie duchowieństwo wyższe stanowiły tam grupę towarzysko-społeczną arystokratyczno-klerykalną. Grupę mieszczańsko-postępową składała głównie adwokatura, administracja, medycy i zamożniejsi właściciele miejscy. Sfery rzemieślnicze, handlowe i ludowe wogóle stanowiły żywioł demokratyczny. Zaznaczyć przytem należy, że w Kielcach, jako mieście dawniej biskupiem, niewolno było mieszkać żydom, aż do czasu reform Wielopolskiego, a handel miejscowy był w ręku chrześcjan.

Ojciec jako prawnik pierwsze znajomości porobił w swoich sferach sądowych, i nadal z niemi przeważnie je utrzymywał. W odwiedzinach bywaliśmy najczęściej w miłym i poważnym domu prezesa Trybunału p. Kosickiego, właściciela wsi Nagłowice (dawniej siedziby Mikołaja Reja). Przyjęcia stałe u państwa Kosickich były co niedziela. Mieli oni synka jedynaka Józia, mojego rówiennika i dwie córeczki Felicję i Anielcię, które kształciły się w domu pod kierunkiem nauczycielki panny Anderlé francuzki ze Szwajcarji, osoby bardzo poważnej i wykształconej. Obok domu zajmowanego przez państwa Kosickich przy ulicy Leonarda (niedaleko od naszego mieszkania) był dom Dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego, której prezesem był p. Różycki, dziedzic wsi Żerniki w powiecie stopnickim. Państwo Różyccy żyli w przyjaźni z państwem Kosickiemi i bywali zawsze na ich przyjęciach z swemi córeczkami Marynią i Teresą oraz synkiem jedynakiem Erazïem, także moim rówiennikiem. Dniem stałym przyjęć u pp. Różyckich były wtorki. Tam również w dużym salonie Dyrekcji zbierało się liczne towarzystwo bardzo ożywione, w którem brało udział także kilku księży kanoników kieleckich. Między innymi ksiądz Wincenty Popiel (późniejszy arcybiskup warszawski), ks. Wnorowski (późniejszy biskup lubelski), ks. Kuliński (później biskup kielecki) i inni. Radcowie Towarzystwa kredytowego, sędziowie trybunału cywilnego i karnego z prezesem Newelskim, profesorowie szkół, niektórzy obywatele wiejscy z okolicy z rodzinami swemi — ożywiali często owe zebrania towarzyskie. Osoby starsze zajmowała rozmowa o sprawach bieżących. Niektórzy panowie zasiadali do partji preferansa lub wista. Młodzież i dzieci zabawiały się w różne gry towarzyskie: w kotka i myszkę, ślepą babkę, pierścionek na sznurku, pytki i t. p. Sądzenie tak zwanych fantów

dawało sposobność do deklamacji, śpiewu i różnych występów humorystycznych. Chłopcy popisywali się ze swemi rysunkami i akwarelami, oglądali nowe książki ilustrowane ładnemi obrazkami, opowiadali sobie przygody z pobytu na wsi i t. p.

Święta Bożego narodzenia przepędzaliśmy w domu. Po wigilji oświetlona rzęsiście, wysoka pod sufit choinka świerkowa, obwieszona gęsto bakaljami, świeżemi jabłkami, z mnóstwem zabawek różnych u podnóża, budziła dziecięcy zachwyt i stanowiła główny przedmiot zajęcia przez długie dni po świętach. Po parotygodniowym odpoczynku tem chętniej zabierali się wszyscy do pracy, a ja do nauki szkolnej w ciągu dalszym w klasie I-ej.

Na wiosnę 1857 r. po świętach wielkanocnych, 20 kwietnia, przybyła nam druga siostrzyczka Andzia. Po chrzcie 2 maja odbyły się sute chrzciny i przyjęcie gości zaproszonych. Zgodzono nową piastunkę. W końcu maja, przy pieknej pogodzie, mama wyjechała z młodszem rodzeństwem do swoich rodziców do Zagórza pod Miechowem.

Ojciec ze mną do wakacyj szkolnych i feryj sądowych pozostał w Kielcach. W końcu lipca 1857 roku po zakończeniu roku szkolnego w zakładzie naukowym Hillera czyli po tak zwanym popisie (na którym otrzymałem ładnie oprawną książkę francuską z obrazkami kolorowemi jako nagrodę) wybraliśmy się również do Zagórza do dziadziów Piątkowskich.

Po trudach pracy w tym pierwszym roku szkolnym moim (1856/7) w ciasnych murach miasta z rozkoszą jechałem znów na wieś Z Kielc szosa krakowska, utrzymywana zawsze w porządku wzorowym, snuje się górzystą okolicą przez Chęciny z ruinami trójwieżowego zamku, przez Jędrzejów i Książ wielki z starym pałacem margrabiów Wielopolskich, do odległego mil 10 Miechowa z okazałym kościołem Bożogrobców i wyniosłą wieżycą z olbrzymią banią na szczycie.

Późnym wieczorem o wiorstę przed Miechowem skręcamy z szosy drogą boczną do białego dworu w Zagórzu, osłoniętego bujną zielenią sadów owocowych i kwiecistego parku przy źródłach rzeczki Miechówki. Powitania serdeczne z mamą, rodzeństwem, dziadkami i wujaszkiem Bogdanem. Mała wieczerza i miły spoczynek po trudach podróży w zacisznych pokoikach tchnących wonią świeżego kwiecia, łąk i łanów zbożowych.

Zaraz nazajutrz po rannem śniadaniu wuj Bogdan wziął mię w swoje obroty. Wuj, urodzony w r. 1839, był odemnie tylko 8 lat starszy, miał wtedy lat 18 a ja 10. Był bardzo serdecznym i dobrym dla mnie, jakby starszym bratem i towarzyszem. Rano obchodziliśmy całe gospodarstwo: więc gumna czyli stodoły ze śpichrzem, nad któremi miał nadzór pisarz Adam Obarski (syn „Obareczki“ dawnej gospodyni mamy w Staszowie i Stopnicy), potem obory, owczarnie i stajnie. Tu przegląd koni

i wierzchowców. Foszman od koni cugowych Łukasz Kajdy i jego syn młody chłopak Franek pomocnik stajenny siodłali wierzchowca wujowego gniadosza ładnego, dla mnie jednego z pary kuców ciemnosiwych. Po krótkich objaśnieniach i wskazówkach udzielanych przez wuja, co do trzymania cugli w ręku i nóg w strzemionach, ruszaliśmy naprzód zwolna stępa, potem raźniej kłusa na łąki i pola do żniwiarzy, najprzód na Zagórzu, potem do Strzeżowa i Siedlisk, na dwa folwarki sąsiednie dzierżawione przez dziadka od rządu.

W Strzeżowie rządca, czyli tak zwany ekonom Malarski zdawał wujowi sprawę o robotach wczorajszych i obecnych. W Siedliskach takoż karbowy Franciszek i gospodyni Katarzyna, stara służąca nadzorująca w oborze krowy, świnie i drób wszelaki czyli tak zwaną „gadzinę“, a także sad i nabiał. Zajrzawszy na żniwiarzy w polu, wracaliśmy do dworu w Zagórzu zdać sprawę ze wszystkiego dokładnie dziadkowi.

Dziadek Piątkowski, jako naczelnik powiatu miechowskiego administrator wytrawny i gospodarz wzorowy, lubił wszędzie ład i ścisły porządek. Codzień z biura przychodził z pobliskiego miasta wiorstę drogi przy pogodzie pieszo, w razie deszczu lub błota przyjeżdżał powozikiem czyli t. zw. wolantem przed południem.

Z uderzeniem godziny 12-ej podawano obiad. Stary służący lokaj Paweł szedł do wieży dworskiej dzwonić na południe. Ludzie pracujący w stodołach i na polach przerywali pracę i szli również obiadować lub spożywać posiłek przynoszony im przez dzieci z domów w koszykach i tak zwanych dwojakach glinianych.

We dworze do stołu w jadalni zasiadała cała rodzina, z babcią na czele na pierwszem miejscu, przy długim stole składanym. Po prawej stronie babci z boku stołu zajmował miejsce dziadzio, twarzą do okien, przez które widzieć mógł drogę łączącą stodoły z oborami i cały ruch ludzi niosących paszę dla koni, bydła i owiec na południe. Obok dziadka zasiadał zwykle (jeśli nie było gości) p. Szklarski nauczyciel domowy, wuj Bogdan i ja. Po drugiej stronie stołu, czyli po lewej stronie babci, zasiadała moja mama, jako córka najstarsza, dalej młodsze siostry mamy: Justyna, Żeńcia czyli Eugenja, wreszcie moja siostrzyczka Marynia i braciszek Władzio, oraz panna Karolina Dotkiewiczówna młoda gospodyni babci. Najmłodsza siostra mamy Wicia czyli Wincentyna, niedawno zamężna przyjeżdżała czasami w niedzielę z Gniazdowic pod Proszowicami, ze swym młodym mężem Edmundem Zagórskim. Niekiedy z dziadzią z miasta przyjeżdżał zapraszany stale na obiad w czasie kadencji miechowski sędzia pokoju p. August Mieroszewski, dziedzic wsi Waganowice, oraz inni goście.

W piątki bywały zawsze obiady postne. Tylko dla dziadzi wyjątkowo kucharz Wincenty Cisłowski robił jednako zwykły

obiad mięsny. Przed dziadzią stała też zawsze obok karafki z wodą źródlaną, butelka wina białego Chambertin lub innego, oraz piwa z browaru sąsiedniego ze wsi Mianocice, przyczem dziadzio wypijał szklaneczkę piwa i kieliszek wina, dzwoniąc piórkiem od zębów w brzegi naczyń szklanych, co było oznaką dobrego humoru. Winem i piwem częstował dziadzio tylko nauczyciela pana Szklarskiego i gości. Panie i dzieci piły tylko wyborną świeżą wodę, przynoszoną codzień przed obiadem z pobliskiego źródła na łąkach, bardzo głębokiego, zwanego „Bezdno".

Po obiedzie dziadzio szedł na krótki spoczynek do swojej małej willi obok dworu. Reszta towarzystwa udawała się na przechadzkę po parku karmić chlebem młode rybki w stawach, albo do sadu na świeże owoce prosto z drzewa, na maliny, truskawki, poziomki miesięczne, których duża kwatera dawała piękne jagody przez całe lato.

Ja z wujem Bogdanem wsiadaliśmy do łodzi wiosłować, objeżdżając dokoła dwa duże stawy, łączące się z sobą przekopem przez groblę, ponad którym rzucony był ładny drewniany most łukowy. Trzeci stawek mniejszy, oddzielny, przeznaczony był dla karasi, aby ich duże drapieżne szczupaki nie zjadały. Z tego trzeciego stawu przez rynnę drewnianą szeroką był obfity odpływ, w postaci wodospadu. Pod nim wyborna kąpiel, której używaliśmy często, zwłaszcza w upały letnie. Tuż obok sterczały ruiny starego młyna drewnianego.

Ryb w stawach była wielka obfitość różnych gatunków: wielkie szczupaki (do 30 funtów wagi), śliczne karpie, liny, węgorze, okonie, płotki, karasie, ślizy i drobiazgu tysiące. Młode rybki przyzwyczajone do karmienia okruchami chleba dla rozrywki, jak tylko przechodził kto brzegiem stawu, płynęły zaraz w tymże kierunku całemi stadami, a rzucony kawałek skórki lub ośródki rozrywały, staczając bójki między sobą i wyrywając sobie okruchy z pyszczków. Czasami wielki szczupak podpływał cicho, a plusnąwszy ogonem w wodę, porywał żywą zdobycz. Wtedy całe to mrowie spłoszone rozpraszało się nagle na wszystkie strony. Gdzieindziej w cichych zakątkach stawów wśród szuwarów na słońcu wygrzewały się grube karpie. Żaby w trawach wodnych zwolna hukały tu i owdzie, a wieczorami w pogodę rechotały wesoło naprzemian z towarzyszkami na łąkach sąsiednich za parkiem.

Stawy wszystkie zasilane były wodą przez dwa kanały czyli rowy szerokie, przekopane od źródła odległego kilkaset kroków, zwanego „Bezdno". Była to głęboka kotlina lejowata wśród bujnej łąki kwiecistej, z bardzo obfitym wypływem, o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Najdłuższemi żerdziami nie można było dosięgnąć dna — stąd nazwa. Woda była tam kryształowo-czysta i lodowo-zimna. W głębinie w oświetleniu

słonecznem błyszczały seledynowo różne liście i kępy ziół wodnych. Brzegi kotliny obrosłe szuwarami, sitowiem i niezapominajkami, obłożone były niską cembrzyną z belek, dla ochrony ludzi i zwierząt od wpadnięcia. Z jednej strony kładka z deski krótkiej służyła do oparcia dla czerpiących wodę do naczyń.

Drugie, źródło również bardzo obfite zwane „Stok“ na brzegu łąk, tuż przy drodze racławickiej, osłonięte było dużą budką czworościenną z desek, pokrytą daszkiem gontowym. Przez małe drzwiczki wchodziło się tam do środka dla czerpania wody, tryskającej z białej opoki wapiennej. Strumień z tego źródła wypływający, zwany Miechówką, zabiera nieco niżej odpływ ze stawów parku Wielko-Zagórza opisanych poprzednio, przebiega przez miasto Miechów i w odległości przeszło jednego kilometra wpada do tak zwanej Wielkiej rzeki. Ta zaś stanowi lewy dopływ rzeki Sreniawy, przerzynającej ukośnie powiat miechowski i wpada do Wisły też z lewej strony.

Dwór i folwark Wielko-Zagórza położone w żyznej dolinie Miechówki otaczają wzgórza faliste, wznoszące się do 400 metrów ponad poziom morza, od strony północy jako Góry strzeżowskie. U ich podnórza leży Strzeżów, drugi folwark dzierżawiony przez dziadka mego.

Cały ów piękny krajobraz przedstawia widok bardzo ożywiony. Na pierwszym planie stawy i park Zagórza, w głębi biały dwór z wysmukłą wieżycą, na widnokręgu Góry strzeżowskie z folwarkiem, do którego prowadzi szeroka szosa warszawska, bielejąca w słońcu wśród łanów zbożowych.

Folwark Wielko-Zagórze pod Miechowem leży między ową szosą warszawską a traktem idącym przez sąsiednią wieś Bukowską-Wolę do Racławic i do miasteczka Szkalbmierza. Między traktami pomienionemi osobna droga z miasta Miechowa, odgałęziająca się od ulicy Racławickiej, prowadzi przez mały most na rzece Miechówce do dworu w Zagórzu. Koło mostu owego karczma murowana, zwana Zamoście, gromadziła podówczas w niedziele i święta ludność wiejską na zabawy popołudniowe z muzyką i tańcami. Karczmę tę należącą do dworu w Zagórzu i kilka innych karczem w folwarkach należących do dziadka, dzierżawił mieszczanin miechowski Kwapiński, który na owej propinacji zrobił mająteczek i wystawił sobie kamienicę piętrową w Miechowie w rynku przy rogu ulicy Terasy i Racławickiej.

O kilkaset kroków od Zamościa, przy tej samej drodze wiodącej do dworu, duży czworobok zabudowań folwarcznych stanowił tak zwane gumna. Składały je: ładny śpichlerz murowany, gontami pokryty, przy samej drodze, dwie stodoły pod kątem prostym do niego stojące i trzecia naprzeciwko śpichrza doń równoległa z młocarnią, sieczkarnią i kieratem czterokonnym wpośrodku. Brama przy śpichrzu prowadziła z drogi do wnętrza tego czworoboku zabudowań na rozległy dziedziniec. W latach urodzajnych za stodołami na polu przyległem układano

zboże i paszę w wielkie brogi czyli sterty, pokrywane grubo słomą mierzwą. (W roku 1916 gdy to piszę, w trzecim roku wielkiej wojny, z owych zabudowań ocalał tylko ów śpichrz murowany; stodoły zaś drewniane słomą kryte, zostały wszystkie zburzone i rozebrane przez żołnierzy podczas zimy na opał w piecach po kwaterach i pod kotłami kuchen polowych wojennych).

Jeszcze o kilkadziesiąt kroków dalej, przy tejże drodze, drugi czworobok zabudowań folwarcznych obejmował: stajnię, owczarnię, wołownię i krowiarnię z chlewami na tylach dla trzody dworskiej i czeladniej.

Przy tejże drodze wysadzonej dużemi wierzbami, w dalszym ciągu lecz po drugiej stronie, obok sadu dworskiego, stał domek z mieszkaniami ekonoma Brzozowskiego i pisarza Obarskiego. O kilkadziesiąt kroków dalej był duży „czworak“ czyli dom o dwóch sieniach i ośmiu izbach z mieszkaniami kucharza, ogrodnika, stangreta czyli foszmana, oraz kilku fornali i wolarzy. Reszta służby dworskiej mieszkała w budynku mieszczącym kuchnię przy dworze.

Dwór w Zagórzu składał się z trzech budynków czworobocznych łączących się z sobą narożnikami. Budynek pierwszy od strony sadu, przy drodze głównej, opisanej poprzednio, i przy podworcu z osobnym wjazdem, obejmował: sień, kuchnię dużą, z paleniskiem murowanem pod blachą i piecami chlebowemi, oraz pokój gospodyni. Osobna przybudówka obok mieściła kurniki dla drobiu. Stąd wchodziło się przez sień do przedpokoju w budynku środkowym, gdzie mieścił się kredens stołowy, obok śpiżarnia chłodna i schody na górę, czyli na strych, służący za skład owoców letnich i zimowych. Z przedpokoju czyli kredensu, było wejście do dużej jadalni z oknami od podworca, ze staroświeckim kominkiem, na którym zimą płonął wesoły ogień podsycany drewkami smolnemi. Obok jadalni były dwa ładne pokoiki z oknami na piękny dziedziniec ogrodowy czyli zajazd z kołem kwiecistem. Pokoiki owe panieńskie zajmowały siostry młodsze mamy mojej czyli ciocie Eugenja i Wincentyna przed zamążpójściem. Przy pokoikach ciotek była śliczna cieplarnia kwiatów z posadzką z kamienia ciosowego i dużą wieżą drewnianą piętrową oszkloną wokoło. Mieściło się tam kilkaset wazonów i doniczek pięknych roślin kwiatowych przeważnie egzotycznych: różnobarwne kamelje pełne, azalje, agapanty, złocienie czyli chryzanty, oleandry, fuksje, rododenrony, przeróżne kaktusy, wielkie agawy, drzewka pomarańczowe i cytrynowe z owocem drobnym ale dojrzewającym poczęści.

Do cieplarni przytykał tak zwany pokój przechodni z alkową zajmowaną przez babcię, z oknem jednem na podwórze kuchenne, a drugiem na dziedziniec frontowy,

Po trzech schodkach drewnianych wchodziło się stamtąd do pokoju bilardowego, leżącego w trzecim budynku dworu, z oknami na dziedziniec frontowy i drogę główną dojazdową

do miasta Miechowa. Obok był salon z oknami też na ową drogę i bramę wjazdową, oraz gabinet sypialny gościnny z wyjściem do sieni głównej czyli przedpokoju, z którego drugie drzwi wiodły znów do pokoju bilardowego. Z tejże sieni schody drewniane prowadziły na pięterko do sieni górnej, do której przylegały dwa pokoiki: jeden zajmowany przeze mnie podczas pobytu letniego na wakacjach, drugi przez ciocię Justynę, przed jej zamążpójściem w jesieni tegoż r. 1857. Z pokoiku cioci było wyjście na balkon prowadzący do górnej części wieży z galeryjką wokoło, z której był piękny widok na park i całą okolicę. W oszklonem wnętrzu wieży ciocia Justyna suszyła mnóstwo ziół lekarskich, chodowanych przez nią w osobnym zielniku w ogrodzie, oraz przynoszonych z łąk, pól i lasów. Ciocia Justyna po mamie mojej najstarsza z córek dziadzi, ubierała się zwykle ciemno czarno bardzo skromnie, w przeciwieństwie do swoich sióstr młodszych: cioci Żenci i Wicuni, które nosiły zwykle suknie jasne i modne. Ciocia Justyna udzielała doraźnych porad, lekarstw i ziół leczniczych ze swej apteczki domowej ubogim ludziom wiejskim w wypadkach lżejszych słabości. Prowadziła też w Miechowie, w domu dziadka w Rynku głównym, ochronkę dzieci sierot pod opieką ochmistrzyni pani Beneszowej, staruszki zacnej i miłej. Większą część kosztów ochronki i wszystkie wiktuały udzielał w naturze dziadzio. Inne koszty pokrywali w części znajomi goście i sąsiedzi, kupując bilety na tak zwaną loteryjkę fantową ochronki. W pokoiku cioci Justyny był stół założony robótkami sierot i różnemi drobnostkami, ponumerowanemi jako fanty, do wygrania przez ciągnienie losów z woreczka. Na biurku, otoczonem bluszczami leśnemi, prowadziła ciocia obszerną korespondencję listową, między innymi ze swym narzeczonym Władysławem Yordanem, emigrantem z wojny węgierskiej 1848 r., jego bratem Spytkiem i wielu innemi osobami w kraju i zagranicą. Listy treści zakazanej przewożone były tajnie do Krakowa, a stamtąd dopiero wysyłane pocztą w różne strony: do Wiednia, Paryża, Carogrodu i in.

W pobliżu dworu głównego w Zagórzu przy dziedzińcu zajazdowym, od strony miasta czyli zachodniej, stała mała willa zwana „Dziadzin domek". Z ganku o dwóch białych kolumnach z balkonem, było tam wejście do sieni obszernej. Z niej drzwi naprawo prowadziły do sypialni dziadka. Do niej przylegał salonik z ładnemi witrynami, obejmującemi piękne muszle morskie, minerały zagraniczne i skamieniałości geologiczne z okolic miejscowych. Dalsze drzwi prowadziły do salonu z kunsztowną posadzką i zdobnemi meblami; ostatnie wreszcie stamtąd do gabinetu gościnnego, zajmowanego w lecie przez moją mamę z młodszem rodzeństwem, gdy na wakacje przyjeżdżaliśmy z Kielc do Zagórza.

Od zachodu i południa owe zabudowania dworu otaczał wielki park spacerowy pełen klombów kwiatowych, bujnych

a wonnych krzewów i drzew różnego gatunku. Modrzewie, świerki, platany, akacje, topole włoskie i nadwiślańskie, białodrzewy, kasztany, czeremchy, jesiony, klony, brzozy płaczące, lipy wspaniałe tworzyły tam grupy malownicze, podszyte krzewami i ziołami, wśród krętych alei i ścieżyn bocznych. Rozległe trawniki, koszone starannie, ożywiały strumyki wód źródlanych, zasilające stawy rybne, drzemiące cicho wśród zieleni.

Od strony wschodniej dworu rozciągał się obszerny sad owocowy i ogród warzywny, podzielony na liczne kwatery, z inspektami poza kuchnią, z mnóstwem nowalji wczesnowiosennych: rzodkiewki, sałat, ogórków, szparagów, a w lecie melonów i arbuzów dorodnych różnego gatunku. Za ogrodem bujne łąki kwieciste w dolinie nad źródliskami ocienione kępami olszyny i wierzb starych; za niemi rozlegle łany zbóż na dosłonecznych pochyłościach wznosiły się stopniowo aż do stóp wyżyn wsi Strzeżowa. (Dziś, gdy to piszę w roku 1916, w czasie wielkiej wojny europejskiej, dwór w Zagórzu zniszczony został i zrujnowany bardzo przez wojska kwaterujące w nim ciągle, a piękny cienisty park wycięty całkiem przez austrjaków na opał w grudniu poprzedniego r. 1915, pomimo że pobliskie lasy rządowe mogły dostarczyć drzewa poddostatkiem...!).

Krom trzech folwarków dzierżawionych od rządu pod Miechowem, dziadek Piątkowski prowadził własne gospodarstwo we wsi Charsznicy, położonej o milę drogi na zachód od miasta, a nabytej niedawno w roku 1855 od p. Cichowskiego swego krewnego.

Charsznica stanowiła wielki majątek z pięknym lasem i dwoma folwarkami: Dąbrowcem i Ludwinowem. Stary dwór charsznicki parterowy, ocieniony lipami rozłożystemi, składał się z ośmiu pokoi z dużym przedpokojem i gankiem o białych kolumnach ze schodami. Rozległy sad obfitował w wyborne gatunki owoców. Po obu stronach drogi, wiodącej z miasta Miechowa do dworu i dalej do wsi Charsznicy, leżały obszerne zabudowania gospodarskie: z jednej strony stajnie, owczarnie i krowiarnie, z drugiej stodoły, młockarnie i spichrze.

Poprzedni właściciele Charsznicy — Cichowscy, krewni dziadka Piątkowskiego, mieli córkę jedynaczkę, a naszą ciocię Kaźmirę, która później wyszła za mąż za p. Bystrzanowskiego i przeniosła się z rodzicami swemi do jego majątku wsi Bierzanowa pod Krakowem, przy stacji kolei krakowsko-lwowskiej w ładnej okolicy.

Po nabyciu Charsznicy dziadek oddał ją swemu synowi, wujowi Bogdanowi, który prowadził tam gospodarstwo przy pomocy rządcy Adama Obarskiego, gajowych i włodarzy czyli karbowych folwarcznych.

Jednę połowę dworu charsznickiego zajmował wuj Bogdan, drugą rządca Obarski, ogrodnik i gospodyni. Wuj prawie codzień

przyjeżdżał stamtąd do Zagórza na wieczór, a w niedziele i święta na cały dzień. My też z Zagórza jeździliśmy często do Charsznicy, niekiedy w licznem towarzystwie. Zwykle do ślicznego lasu tamecznego. Był tam starodrzew przeważnie jodłowy niewyniszczony, z roskosznemi polankami i wąwozami, podszyty gęsto krzewiną leszczyny, malin i jeżyn, wśród których bywała wielka obfitość poziomek, borówek i grzybów różnego rodzaju: rydzów, gołąbków, maślochów, bedłek zwyczajnych i t. p. Obok domu gajowego był ogromny pień po starej jodle spiłowanej równo płasko. Na nim na białym obrusie zastawiano w południe nakrycie na kilkanaście osób. Obiad składał się zwykle z jajecznicy, grzybów na śmietanie i rydzów duszonych, a podwieczorek z mleka zsiadłego, słodkiego, poziomek, malin, czernic i herbaty. Wieczorem wracaliśmy wszyscy do Zagórza z ogromnemi koszami pełnemi jagód wszelakich, grzybów i orzechów, z świeżemi bukietami kwiecia i paproci, a ja z bogatym zbiorem roślin w zielniku botanicznym.

Niekiedy jeździliśmy też do pięknego lasu mianockiego należącego do wsi Mianocice, położonego przy szosie warszawskiej o dobrą milę na północ od Zagórza. Tam w pobliżu karczmy zwanej Antolka była śliczna polanka wśród grabów rozłożystych, lip i modrzewi, gdzie rozkładaliśmy się obozem z podwieczorkiem. W całym lesie było tam mnóstwo bluszczów, pełzających po ziemi wśród mchów puszystych, łany całe paproci bujnych, wonne storczyki i wiele innych rzadkich roślin, które zbierałem dla zasuszenia.

Z wujem Bogdanem robiliśmy też często długie przechadzki w okolice Zagórza do wielkich wąwozów z odsłonięciami i osypiskami opoki wapienno-marglowej, obfitującej w skamieniałości paleontologiczne formacji kredowej. Zbieraliśmy mnóstwo jeżowców, muszli, belemnitów, gąbek skamieniałych i t. p., do kolekcyj geologicznych w bibljotece dziadka.

Wieczorami po wczesnej herbacie wiejskiej, mianowicie w dnie słotne, zbieraliśmy się wszyscy w saloniku panieńskim cioci Eugenji obok cieplarni, na wspólne czytanie głośne nowości literackich, nadchodzących stale od wydawców warszawskich i krakowskich do księgozbioru dziadka. Były to przeważnie powieści, poematy i dzieła historyczne ówczesnych autorów: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Szajnochy, Wincentego Pola (ale nie jego utwory pierwotne demokratyczne i etnograficzne, lecz późniejsze „gawędy szlacheckie“ bardzo wzięte podówczas i poczytne po dworach wiejskich, jak „Przygody Imci pana Benedykta Winnickiego“, a zwłaszcza „Mohort“ rozgłośny). Po świetnym okresie odrodzenia literatury naszej przez wielką trójcę poetów: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, zalała podówczas kraj nasz pozioma fala banalnych powieści i poematów, w których rozrastały się bujne chwasty

jałowej myśli. Wiała z nich cuchnąca zgnilizna przeszłości. Magnactwo opłakujące swój raj utracony, klerykalizm przeczący rozumowi, odrzucający wszelką swobodę myśli — podnoszone były do apoteozy w tej makulaturze zatęchłej.

W rodzinie i domu dziadka Piątkowskiego panował też wogóle nastrój zachowawczo szlachecki i klerykalny, mianowicie wśród kobiet. Nabożeństwa i posty były regularnie i ściśle odbywane. Proboszcz miechowski otrzymywał często w darze pełne kosze pięknych owoców i ryb okazałych po każdym połowie w stawach dworskich. Święta bożego narodzenia, Wielkanocne, imieniny wszystkich członków rodziny stanowiły uroczystości domowe obchodzone solennie i gwarno. Święcone wielkanocne bywało bardzo sute, obfite i wspaniałe. Ciocie młode, przed swem zamążpójściem, wysadzały się na przeróżne ciasta i tak zwane mazurki wytworne, wyrabiane misternie i świetnie przystrajane. Tak chciała „tradycja", którą wszystkie dwory polskie ówczesne zachowywały starannie i prześcigały się w tem wzajemnie. Sprzyjał temu i wtórował cały poziomy duch literatury ówczesnej, w której wodzili rej tacy Polowie, Rzewuscy i t. p. wstecznicy. Dzieci i całe młode pokolenie zwłaszcza wiejsko-szlacheckie, chowały się i wyrastały w tymże kierunku pod wpływem duchowieństwa i rodziny.

Ja wzrastałem również w tej atmosferze i w otoczeniu podobnem. Wprawdzie od dzieciństwa już odczuwałem instynktownie ożywczy czar przyrody. Jak ryba w wodzie rozkoszowałem się swobodą wśród łąk kwiecistych, bujnych pól i lasów wonnych żywicą. Zwolna budziła się we mnie reakcja przeciw modzie jednostajnych pacierzy powtarzanych bezmyślnie, niezrozumiałych dla dziecka, a zwłaszcza dla sennego wieczorem iście męczących i nieznośnych...

Tkwiący głęboko w duszy praatawizm jaskiniowy aryjsko-starosłowiański targał już wtedy więzy semickie mojżeszowo-jezuickie, jakiemi zahipnotyzowało żydostwo i papiestwo Europę i świat.

Ceremonja też i etykieta salonowa niemały wstręt budziły we mnie. Liczni goście krępowali swobodę dziecięcą. Trzeba było ubierać się strojnie i świeżo, nie biegać swobodnie i nie skakać by nie uszkodzić ubrania, witać się układnie i całować rączki różnych starszych pań, mówić bajeczki i deklamować wierszyki popisowe. To też z czasem podnosił się odruchowo bunt przeciw tej chińszczyźnie i średniowiecznej niewoli towarzyskiej. Na odgłos strzelania z biczów stangretów i foszmanów zjeżdżających się gości, zwykle po południu, ja z kochanym wujaszkiem Bogdanem zmykaliśmy w pola, albo w gęstwiny parku. Czasem, zaskoczeni nagle, wdrapywaliśmy się na wierzchołki starych lip rozłożystych w sadzie, i tam przesiadywaliśmy do wieczora, póki nie rozjechali się obcy goście. Braliśmy tam z sobą zawczasu w kieszenie owoce i książki do czytania.

Pierwsza książka jaka mi się do rąk dostała to „Robinson Kruzoe" Daniela Defu (Defoe) w przekładzie polskim, w starem wydaniu w jednym dużym tomie i staroświeckiej oprawie w półskórek i papier, z Bibljoteki dziadka *). W książce tej było kilka sztychów małego formatu blado kolorowanych, przedstawiających sceny z życia Robinsona na wyspie odludnej. Fantastyczne przygody owego rozbitka niezmiernie mię zainteresowały; pochłaniałem ową książkę z zajęciem nadzwyczajnem. Gdy jednego wieczoru doszedłem do końca dzieła, odwróciłem książkę i zacząłem ją zaraz czytać powtórnie od początku. Niezwykłe przygody rozbitka morskiego, przedstawione w obrazach realistycznych i żywych ukazały mi naraz szerokie widnokręgi dalekiego świata, tak różne od znanych mi dotąd w zaciszu domowem, w naszych wsiach rodzinnych i małych miasteczkach kraju. Zaciekawiało mnie najbardziej morze... ów obszar wód niezmierny, nieznany! Pragnąłem je ujrzeć kiedy na własne oczy, marzyłem o dalekich podróżach. Marzenia moje nieprędko się ziściły, bo dopiero w 25 lat później, gdy w r. 1882 ujrzałem po raz pierszy brzegi Morza czarnego pod Warną, w mojej podróży na Wschód.

Narazie poprzestać trzeba było na bliższych wycieczkach z Zagórza do Krakowa owej prastarej stolicy Polski, pełnej pamiątek świetnej przeszłości kraju. Łatwość tej podróży była wielka. Kraków odległy tylko 5 mil, łączyła z Miechowem wyborna szosa pełna ruchu i życia podówczas. Pasportu kosztownego zagranicznego na wyjazd nie było potrzeba wcale wyrabiać. Wystarczała tak zwana „kartka" czyli przepustka siedmiodniowa bezpłatna, jaką dziadek jako naczelnik powiatu wydawał wszystkim z łatwością.

Do Krakowa z Zagórza jeździliśmy zwykle we dwóch z wujaszkiem Bogdanem, wózkiem parokonnym. Czasem, prócz nas, jechała powozem czwórką babcia z mamą i siostrzyczką moją Marynią, oraz która ciocia. Po załatwieniu formalności na komorze celnej w Michałowicach, przejeżdżaliśmy za słupy graniczne. Już tam z wyniosłej wyżyny roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę Wisły, Kraków i kopiec Kościuszki, rysujący się wspaniałym ciemnym profilem na jasnem tle widnokręgu...

Minąwszy przedmieście Krakowa i liczne szyny rozjazdowe kolei wiedeńskiej, zajeżdżaliśmy na ulicę Sławkowską do Hotelu saskiego, będącego własnością p. Cezarego Hallera, dziedzica wsi Mianocice w pobliżu Miechowa, sąsiada dziadka. Miasto

---

*) Defoe Daniel, znakomity pisarz angielski, ur. w r. 1661 w Londynie, pracował w różnych kierunkach literackich. W r. 1719 ogłosił słynne dzieło „Life and adventures of Robinson Crusoe", przełożone na wszystkie języki europejskie. Zmarł w r. 1731. Polskie przekłady „Robinsona": wydanie Grölla w Warszawie 1794, wydanie 2-gie tamże 1795, trzecie 1804; wydanie Jabłońskiego w Puławach 1830 r., z ilustracjami w Lipsku 1844—45 t. 2, wydanie 2-gie 1845—58.

piękne, starożytne, wielce ruchliwe, robiło na mnie wrażenie podniecające. Z wujem Bogdanem śpieszyliśmy przedewszystkiem na Wawel, skąd przepiękny widok roztaczał się na całą okolicę. Katedrę i groby królewskie, wsaniałe pomniki Władysława Łokietka, Kaźmierza Wielkiego, Władysława Jagiełły, Warneńczyka, sarkofagi Sobieskiego, Kościuszki, Józefa Poniatowskiego i in. oglądaliśmy ze czcią głęboką niejednokrotnie. Wuj wszędzie udzielał mi cennych objaśnień historycznych. Potem znów Kościół Marjacki, z wspaniałą kolumnadą gotycką (podówczas poważną i szarą w półcieniach przed ostatniem odnowieniem wielobarwnem) i wielki ołtarz z rzeźbami Wita Stwosza, robiły na mnie, małym człowieczku, wrażenie ogromne podniosłe. W przechodzie wuj Bogdan wstępował ze mną do księgarń i antykwarni, gdzie czynił zawsze nieduże lecz doborowe zakupy, możliwe do przewiezienia w ukryciu pod ubraniem, przez komorę graniczną rosyjską. Wreszcie obchodziliśmy różne stare budowle, świetne wystawy sklepowe, gdzie wuj czynił też drobne sprawunki. Wieczorem dla wypoczynku szliśmy zwykle do ślicznego Ogrodu botanicznego, zostającego pod zarządem znakomitego profesora Warszewicza. Tam w osobnej cieplarni pod szklaną rotundą, wspaniała Victoria regia, z wielkiemi liśćmi pływającemi w wodzie z przepysznym kwiatem różowym, budziła zachwyt ogólny. Również świetna kolekcja storczyków, przywieziona przez Warszewicza z Ameryki południowej, przedstawiała rozmaitość gatunków i wielkie bogactwo dziwacznych kwiatów niezwykle interesujące.

Na drugi dzień robiliśmy wycieczkę na kopiec Kościuszki, rozpamiętywać tragiczne dzieje walk porozbiorowych. Potem do Bibljioteki Jagiellońskiej rozpatrywać stare księgi i rękopisy zdobione artystycznie. Wreszcie oglądaliśmy bogate zbiory przyrodnicze i archeologiczne Uniwersytetu. Okrążając miasto cienistemi Plantami rozglądaliśmy monumentalne świątynie przyległe i szczątki starych murów obronnych Krakowa. Wszędzie kochany wuj Bogdan udzielał mi cennych objaśnień, bo znał dobrze naszą starą stolicę i kochał jej pamiątki dziejowe. Wuj Bogdan był najmłodszy ze swego rodzeństwa, a ja byłem najstarszym z mojego, synem najstarszej siostry jego. Wuj był starszy odemnie tylko o lat ośm, był przeto dla mnie jakby starszym bratem, przyjacielem i miłym towarzyszem. Lubił mię bardzo; wiele mu zawdzięczam pod każdym względem.

Przepustki zagraniczne służyły wówczas na ośm dni tylko, więc po tygodniu pobytu w Krakowie, obładowani książkami i sprawunkami różnemi, wracaliśmy do domu tą samą drogą przez komorę celną w Michałowicach. Przed jej wielkim gmachem piętrowym z obszernemi składami po bokach, w cieniu kasztanów rozłożystych na ławkach siedzieli urzędnicy, a między nimi dyrektor Petrow z fajką na długim cybuszku. Właśnie gdy przed nich zajechał wózek, na którym siedziałem z wujem Bog-

danem, w chwili gdy zeskakiwałem wypadł mi na ziemię ukryty pod paltem na piersiach tom „Pana Tadeusza“ Mickiewicza (w wydaniu paryskiem zakazanem). Dyrektor Petrow udał że tego nie spostrzegł, odwrócił twarz w inną stronę, urzędnicy poszli za przykładem swego poczciwego zwierzchnika, i dalej rozmawiali z sobą, jakby nic nie zaszło. Ja coprędzej podniosłem książkę i dobrze ukryłem. Przewożenie książek przez granicę było podówczas całkiem zabronione, a zakazanych surowo karane...

Po załatwieniu zwykłych formalności z przepustkami naszemi w kancelarji, po rewizji dość powierzchownej w pojazdach przez strażników, dyrektor ukłonił się grzecznie na pożegnanie, i machnąwszy ręką dał znak swobodnego odjazdu. Ś. p. Petrow, niemłody już zacny człowiek, za czasów urzędowania swego nie czynił nikomu trudności w przejazdach za granicę; nie chciwy — nie zrobił majątku na swem stanowisku, na którem inni gdzieindziej bogacili się grubo.

Po powrocie z Krakowa do Zagórza pozostali we dworze domownicy otrzymywali zwykle różne upominki czyli gościńce krakowskie i sprawunki, o których kupienie prosili.

Wuj Bogdan oddawał do Bibljoteki dziadka w Miechowie, w dawnym gmachu poklasztornym mieszczącej się na II piętrze, zakupione książki, ryciny, mapy, numizmaty i t. p. Ja przy tej sposobności oglądałem zbiory przyrodnicze i galerję obrazów dziadka, i korzystałem tam również z objaśnień wuja. Na wstępie do bibljoteki, w wielkiej sali słonecznej, imponowała olbrzymia czaszka mamuta ustawiona przy oknie weneckiem na podłodze, a nad drzwiami bibljoteki rozpościerały się dwa wielkie kły owego słonia pierwotnego (elephas primigenius) wykopane w okolicach Miechowa. Na parapetach okien bibljoteki leżało mnóstwo pięknych skamieniałości paleontologicznych z opoki marglowej formacji kredowej, zalegającej prawie cały powiat miechowski pod grubemi pokładami loesu i gliny dyluwjalnej. Więc liczne wielkie amonity, jeżowce, belemnity, odciski muszli jedno i dwuskorupnych, gąbki skamieniałe i inne promieniaki. Na stołach rozłożone były wielkie albumy i teki rycin, atlasy i starożytności różne. Bibljoteka obejmowała przeszło 10.000 tomów, galerja obrazów około 200 płócien; zbiór numizmatów dziadka należał do największych w Polsce. Całe skrzynie starych dokumentów i autografów historycznych były tam przedmiotem badań archeologów i uczonych krakowskich. Między innymi profesor Łepkowski często zjeżdżał tu na czas dłuższy, dla robienia notat i wyciągów. Niestety! wszystkie te cenne zbiory po nieszczęsnej bitwie miechowskiej 17 lutego 1863 r. zostały przez żołdactwo rosyjskie przeważnie zrabowane, a resztą spalone, wkrótce po przeniesieniu do nowego domu dziadka na północnej połaci rynku miasta Miechowa, jak to już poprzednio wspomniałem.

W dnie pogodne, w czasie żniw, dziadek po południu wypocząwszy objeżdżał folwarki i pola, dla doglądania robót. Były to jeszcze czasy pańszczyzny. Żniwiarzy i najemników pracowało tam nieraz po paręset dziennie. Dziadek często brał mię z sobą na wózek, a ja znów zabierałem wielki parasol z płótna żaglowego na wypadek nagłej ulewy. Wypłata robotnikom za pracę odbywała się co tydzień w niedzielę przed południem, według sprawozdań i rachunków składanych przez rządców zrana. Wypłatę robił zwykle wuj Bogdan, pieniędzmi drobnemi zmienianemi zawczasu w Kasie powiatowej.

Z wujem też chodziłem często pieszo do żniwa. Czasem wsiadaliśmy na wóz drabiniasty pusty w stodołach, jadący w pole po snopki. Wuj nauczył ludzi wiązać zboże w sposób ulepszony i mocny tak zwanemi kneblami, czyli kołkami śpiczastemi, w czem i ja pomagałem. W razie grożącego deszczu pomagaliśmy też ładować snopy na wozy, podgrabiać kłosy i przyśpieszać zwózkę, albo układać mendle i brogi zboża na polu.

W inne dnie znowu dziadzio posyłał mię do stodół karbować snopy zboża, zwożonego przez cały dzień. Brałem gazety i książkę do czytania, a na karbownicy znaczyłem wszystko dokładnie, zdając sprawę dziadkowi wieczorem z czynności.

W dnie słotne odbywała się młocka zboża na maszynie. Pilnowałem i tej roboty. Rano wydawałem kopy do omłotu, czasem podawałem sam snopki na młocarni, zaglądałem na dół do młynkowania, a wieczorem odbierałem ziarno i poślad w śpichrzu, zapisywałem omłót. W inne dnie doglądałem rznięcia sieczki, wydawałem ze śpichrza obroki i paszę dla koni, bydła i owiec.

Za kupnem zboża gotowego przyjeżdżali do dziadka kupcy różni. Zwykle Brukenerowie z Wolbromia, bogaci żydzi. Stary Brukner, w czarnym atłasowym żupanie, czarnym hałacie sukiennym, aksamitnej krymce i futrzanej czapie, składał na zadatek parę tysięcy rubli i zawierał kontrakty na wszystko zboże hurtem: pszenicę, żyto, jęczmień, owies, rzepak, groch, koniczynę i t. p. ze wszystkich folwarków, zwykle z odstawą do jego składów lub do stacji Zawiercie kolei wiedeńskiej.

Owoce letnie w Zagórzu zbierano przeważnie na użytek domowy, bo tam były najlepsze gatunki wyborowe. Na inne folwarki do Siedlisk i Strzeżowa jeździła zwykle babcia z wujem i ze mną do sadów tamtejszych, z których część zbioru sprzedawała od ręki sadownikom i przekupniom z Miechowa. W Zagórzu owoce letnie układano we dworze na poddaszach czyli na strychach na słomie. Później jesienne i zimowe w osobnych piwnicach na licznych stołach i półkach wyłożonych słomą lub sianem.

Kucharz Wincenty Cisłowski, mistrz znakomity, pod kierunkiem babci i cioci Eugenji smażył przeróżne konfitury, robił

soki i wina owocowe, przechowywane w piwnicach rok cały aż do nowych. Sycono też miody, smażono powidła z węgierek, kiszono ogórki całemi beczkami.

Osobna piwnica przeznaczona była na mleczywo i nabiał, gdzie codzień robiono świeże wyborne masło, sery, bryndze, gomółki krowie i owcze na różny sposób.

Wyrabiano też znakomity krochmal z pszenicy i kasztanów.

Babcia była bardzo pracowita i zabiegła. Wstawała wcześnie o świcie, i kierowała całem gospodarstwem domowem przy pomocy klucznicy i służby dworskiej.

Babcia od czasu do czasu odwiedzała swą najmłodszą córkę zamężną, ciocię Wincentynę Zagórską w Proszowskiem, i brała mię tam ze sobą. Czasem jeździłem tam z wujem Bogdanem, zwykle wózkiem lekkim parokonnym, krótszemi drogami bocznemi przez lasy.

Wujostwo Zagórscy mieszkali we wsi Gniazdowice, w pobliżu miasteczka Proszowic, o trzy mile od Miechowa. Ziemia proszowska, jak wiadomo, należy do najurodzajniejszych w Polsce, podobnie jak sandomierska. Gniazdowice położone nad rzeką Szreniawą, w glebie wybornej, zagospodarowane były przez wuja Edmunda Zagórskiego znakomicie. Ładny dwór wiejski z gankiem stał wśród dużego ogrodu i sadu owocowego. Za nim nad rzeką kołatał duży młyn dworski ulepszony. Zabudowania gospodarskie: stajnie, obory, śpichrze murowane były wszystkie pokryte łupkiem szarym śląskim czyli szyfrem bardzo trwałym. Piękne łąki, obsadzone po brzegach wierzbami, rozciągały się szeroko nad rzeką. Wsie w Proszowskiem, z powodu urodzajności gleby mają grunty dworskie niezbyt rozległe, po 6 do 12 włók. Dwory leżą tam blisko siebie, tak że sąsiedzi dziedzice przy pogodzie odwiedzają się zwykle pieszo spacerem.

Wujostwo Zagórscy, pobrali się w roku 1854, mieli podówczas dopiero pierwszego synka Antosia, który urodził się w r. 1856. Rodzice wuja Edmunda: starszy pan Zagórski Antoni i jego żona Józefa z Kmitów, mieszkali w sąsiedztwie we wsi Gorzkowie z córką panną Walerją, która odwiedzała czasem dziadków naszych w Zagórzu.

Wśród wakacyjnych wyjażdżek, przechadzek, robót gospodarskich, czytania „Pana Tadeusza“ Mickiewicza i innych rozrywek wiejskich minęło szybko parę miesięcy miłego pobytu na wsi u dziadków. Trzeba było wreszcie zbierać się i wracać w mury szkolne, z umysłem odświeżonym i siłami pokrzepionemi wpośród pól, łąk i lasów.

W przeddzień wyjazdu w końcu sierpnia, pakowaliśmy z mamą tłomoki, ja swój tobołek, babcia koszyki z wiktuałami na popas w drodze i na pierwszą potrzebę w domu. Wysłano też naprzód czwórkę koni rozstawnych do Jędrzejowa w połowie drogi.

Nazajutrz raniutko zajechał po nas powóz zaprzągnięty w czwórkę koni, z krakowiakiem dziarskim na koźle, z obrokiem i paszą w drogę. Ładowano z tyłu pakunki i przywiązano postronkami.

Po śniadaniu żegnaliśmy się z domownikami i całą rodziną obecną. My wnuczęta t. j. ja, braciszek i siostrzyczki całowaliśmy dziadzi ręce i kolanka; dziadzio głaskał wszystkich po główkach, błogosławił znakiem krzyża i dawał każdemu potrochu nowiutkich drobnych pieniążków srebrnych dziesiątek polskich i miedzianych grosików błyszczących na cukierki. Po ucałowaniu rąk babci, cioteczek i wujaszka, serdecznych uściskach i pocałunkach, odprowadzani przez wszystkich do powozu — sadowiliśmy się z mamą i nianią jak można najwygodniej. Woźnica nakreślił przed końmi biczem na ziemi znak krzyża i ruszaliśmy zwolna w drogę na szosę warszawską do Jędrzejowa na popas. Tam zaprzężono wysłane w przeddzień, wypoczęte przez noc konie rozstawne, a pierwsza czwórka wróciła luzem do Zagórza.

Pod wieczór za dnia, po przebyciu 10-milowej drogi gładką szosą, przybyliśmy do Kielc, gdzie oczekującego nas ojca powitaliśmy wesoło.

Po wypoczynku parodniowym i opłaceniu wpisu do klasy II-iej, z początkiem września zacząłem znów chodzić na lekcje. Opłata szkolna wynosiła 50 złotych miesięcznie czyli 500 złp. rocznie, co na owe czasy stanowiło wydatek bardzo znaczny.

Sala wykładowa klasy II-giej, w owym roku szkolnym 1857/8, była przez naszego przełożonego Hillera wynajęta w kamienicy należącej do kościoła ewangelickiego, stanowiącej plebanję pastora Lembkego, naprzeciwko naszego zakładu naukowego po drugiej stronie ulicy. Był to pokój obszerny lecz nieco ponury, gdyż miał tylko dwa okna od północy niesłoneczne. Za to podczas pauz między lekcjami i przed ich rozpoczęciem wolno było uczniom chodzić po ogrodzie, należącym do księdza pastora, pełnym słońca, pięknych drzew i kwiatów. Korzystaliśmy z tego zawsze w dnie pogodne, bacząc pilnie aby nic nie uszkodzić.

Profesorowie, ciż sami co w roku poprzednim, wskazali nam podręczniki szkolne przedmiotów wykładać się mających w klasie II-giej. Łaciny nauczał pastor Lembke, jak również nauki religji ewangelickiej dla kilku kolegów tego wyznania.

Koledzy drugoklasiści byli to przeważnie zeszłoroczni towarzysze z ławek klasy I-ej, którzy dostali promocję. Paru pozostało jeszcze na drugi rok w I klasie, a kilku nowych przybyło do naszego grona z tych co musieli zostać nie otrzymawszy promocji do klasy III-ciej. Wkrótce wszyscy poznajomiliśmy się. Swobodnie tam było i wesoło, bo nieco na uboczu, przez co nasz surowy przełożony nie zaglądał tak często. Opowiadania

powakacyjne, gra w piłkę w tak zwane klasy, przechadzki po ogrodzie przyległym — stanowiły przyjemną rozrywkę. Pastor Lembke, człowiek w średnim wieku, zawsze pogodnie uśmiechnięty, był wcale miłym dla nas gospodarzem i nie przeszkadzał nam w zabawach. To też niekiedy amatorzy pokojowej gry piłki w tak zwane klasy rozmachiwali się zbytecznie. Jednemu w czasie pauzy piłka wpadła raz na piec kaflowy. By ją wydostać jeden wysoki koleżka stanął przy piecu, drugi wlazł mu na ramiona, a gdy chwycił za gruby gzems kaflowy, ten oberwał się wokół i z hukiem spadł na podłogę, zasypując ją gruzem. Wtem nadszedł profesor. Wszyscy skoczyli do ławek i zasiedli jak trusie. Indagacja: kto to zrobił? Nikt się nie przyznaje. Profesor pyta prymusa Mścisia Godlewskiego: kto gzems oberwał? prymus nie widział, a choćby widział nie wydałby kolegi. Prymus klęczeć! woła profesor. Mściś wychodzi i klęka w kącie. Już winowajca miał się sam przyznać, gdy w tem Emil Godlewski, młodszy brat Mścisława, wychodzi z ławki, klęka przed bratem, bierze go za szyję i cicho łka, płacząc z żalu że brata spotkała niesłusznie taka przykra kara. Profesor wzruszony tą serdeczną miłością braci, każe wstać obu i wszystko kończy się ku ogólnemu zadowoleniu. Poczciwy pastor Lembke kazał stary piec naprawić swoim kosztem, nie żaląc się przed przełożonym, aby nie ściągnąć surowej kary na winnych, za co przeprosiło się go pięknie i obiecało poprawę.

Po lekcjach popołudniowych zazwyczaj, kto z nas miał chęć szedł na dziedziniec pensjonatu, na zbiorową grę w palanta, ekstrę lub na gimnastykę. W rekreacje chodziliśmy wszyscy na dalsze przechadzki za miasto, z nauczycielami języków niemieckiego lub francuskiego naprzemian.

Ja zwykle z ojcem chodziłem wieczorem do ogrodu miejskiego, albo na szosę krakowską na góry Kadzielnię, Karczówkę do lasu sosnowego, lub na wieś na mleko do Czarnowa. W niedzielę szliśmy z ojcem do pałacyku naczelnika powiatu Zielińskiego zwiedzać jego galerję obrazów, bibljotekę, zbiory przyrodnicze, archeologiczne i artystyczne bardzo bogate.

Jeszcze przed rokiem 1840 w Warszawie rozproszone i na licytacjach rozsprzedane zbiory obrazów z galerji Paców z ulicy Miodowej i Ossolińskich z placu na Tłomackiem, obudziły w mniej lub więcej zamożnych ludziach zamiłowanie do tworzenia zbiorów obrazów.*)

Czynnym uczestnikiem owych licytacyj był między innymi Tomasz Zieliński, podówczas i do roku 1846 komisarz policyjny cyrkułu XI-go w Warszawie, mieszkający w domu klasztornym Karmelitów przy Krakowskiem przedmieściu. Około tegoż roku 1846

---

*) „Pamiętnik kielecki“, wydany w Kielcach 1901 r., str. 57, artykul Wojciechа Gersona: p. n. „Kielce jako rozsadnik dążeń estetycznych“.

Zieliński, posiadając już zbiorek obrazów holenderskich, przeniesiony na posadę naczelnika powiatu do Kielc, na tem nowem stanowisku nie przestawał zbierać obrazów, ksiąg starych i starożytności. Gromadził je tak skrzętnie, że w r. 1848 dom jego własny, sąsiadujący z ogrodem publicznym w Kielcach, a mieszczący się na spadku wzgórza poza Zamkiem, stał się bardzo zajmującem muzeum. Były w zbiorze Zielińskiego w owym czasie obrazy oryginalne Czechowicza, Pęczarskiego, Jana Nepomucena Głowackiego, Marcina Zaleskiego, Cinq-Mars'a, portrety historyczne Władysława IV w stroju koronacyjnym i wiele innych. Zbiór ów budził zajęcie nietylko w samych kielczanach i okolicznej inteligencji, ale i w dalszych stronach, bo i z Warszawy przyjeżdżała młodzież malarska studjować owe dzieła sztuki. A nawet z czasem doznawała gościnności „naczelnika" nie przez dnie i tygodnie lecz miesiące i lata całe

Kielce stały się przez to ogniskiem, w którem zbierały się dążności inteligencji miejscowej do rozwoju życia umysłowego i artystycznego. Muzyka, teatry amatorskie, zabawy z jednej strony, a zbiory naukowe i upodobanie w sztukach plastycznych z drugiej ożywiały to piękne miasteczko.

Wojciech Gerson był tu jednym z pierwszych, ze swym kolegą Cieglińskim, na studjach krajobrazowych w Górach świętokrzyskich w r. 1848. Utorował im drogę list polecający profesora Piwarskiego, napisany do „naczelnika" Zielińskiego, który ze swej strony czynił artystom wszelkie ułatwienia dla odbycia wycieczki na Łysicę, sławną klasztorem z obrazami Smuglewicza, do Bodzentyna, do Chęcin i do Ojcowa.

W domu Zielińskiego była część wschodnia, zwana koszarami, obszerna wieża w stylu ostrołukowym, w górze wyzębieniem fortecznem zakończona. Mieściła w sobie parę pokojów, a miała wejście oddzielne wprost od ulicy wiodące. Połączona też była z resztą domu tak, że zajmujący ją artyści, czy to pracą zajęci czy długo zasypiający po nocy spędzonej na zabawie, mogli być i bywali znaglani nieraz przez „naczelnika" do odwiedzin. Stosunek to był niemal rodzinny ojca pobłażliwego, gościnnego miłośnika sztuki, przy którego stole codziennym zasiadali ulubieni, utalentowani, weseli w rozmowie i chętnie podejmowani przez „panią naczelnikową" artyści

Dla karjery artystycznej Kostrzewskiego, Szermentowskiego i rzeźbiarza Święckiego były Kielce jednym z najpoważniejszych etapów. Kostrzewski był tu pierwszym na drodze malarstwa przewodnikiem Szermentowskiego, którego najpierwsze obrazy tu powstały. Święckiego rzeźbiarza „Grupy krakowiaków za stołem siedzących" też tu się poczęły.

Atmosfera artystyczna, panująca w gościnnym domu naczelnika Zielińskiego, miała powab niezrównany; bo prócz artystów, krócej, dłużej lub stale tam mieszkających, niemało osób

przejezdnych zatrzymywało się w Kielcach dla zwiedzenia słynnej galerji. Dużo też obywatelstwa wiejskiego, pośród którego miał mir niemały „naczelnik“ nie pomijało jego domu. Indywidualną tą miłością piękna i zabytków przeszłości utrzymywała się ta wyższa doskonalsza atmosfera w Kielcach. To też później wraz ze zniknięciem osobistości umiejącej ją utrzymać wokoło siebie i ona się rozwiała. Ze śmiercią Tomasza Zielińskiego zbiory jego testamentem przeszły w ręce mecenasa obrońcy Prokuratorji Wojciecha Bronikowskiego, mojego ojca sąsiada znajomego i przyjaciela, z którym często odbywaliśmy przechadzki i zwiedzali piękną galerję obrazów. Niestety po śmierci owego sukcesora zbiory te objęte przez jego brata, wywiezione do Warszawy i rozsprzedane, całkiem się rozproszyły. Wskutek tego niewiadomo gdzie się podziały liczne portrety historyczne, np. profil króla Jana Kaźmierza w zbroi i wieńcu laurowym na głowie, gdzie piękne popiersie z rękoma staruszki Nogari'ego, gdzie Lech Głowackiego, gdzie profil tegoż, gdzie wyborny portret królowej Marji Ludwiki, gdzie Pęczarsktego „Czytelnicy Kurjera“, lub Hadzicwicza „Głowa męska“? Z dawniejszych były obrazy Czechowicza, akwarele Norblina (Wnętrze kościoła wiejskiego), dalej Marcina Zaleskiego wnętrza i obrazy ze zdarzeń współczesnych mu o małych figurkach, Jana Nepomucena Głowackiego krajobrazy z okolic Krakowa, widok na to miasto od Mogiły i mnóstwo innych, jak: Schalkenów, Netscherów, których wpływ na młodzież artystyczną przebywającą w Kielcach, a za jej pośrednictwem na sztukę krajową był niemałym.

W domu naczelnika Zielińskiego, pomiędzy tak zwaną „Wieżą“ główną, powyżej opisaną, a mieszkaniem gospodarza i galerją obrazów, była jeszcze cieplarnia i druga wieża mniejszych rozmiarów, zwana „Rajem“, otoczona drzewkami pomarańcz, różnemi krzewami, agapantusami i mnóstwem kwiatów różnobarwnych. Wpośród nich wzniósł Zieliński obelisk marmurowy, na którego bokach wyryto nazwiska artystów zasłużonych w różnych gałęziach sztuki, z napisem w nagłówku następującym:

„Pamięci, czci i chwale ziomków, którzy w pierwszej połowie XIX stulecia zajaśnieli nauką i sztukami, przez co sobie niespożytą chwałę, a ziemi ojczystej zaszczyt przynieśli — poświęcono w maju 1854 roku“.

W dnie świąteczne zwiedzałem stary Zamek kielecki pobiskupi, w którym mieściły się podówczas biura i sala posiedzeń Trybunału cywilnego, gdzie ojciec mój urzędował. Piękny portyk, z kolumnadą z marmurów chęcińskich i szerokie schody, prowadzą tam do wielkich komnat z plafonami olejno malowanemi, oraz sali głównej, ozdobionej na ścianach w dwa szeregi portretów biskupów krakowskich, które podówczas odświeżał i uzupełniał artysta-malarz Rycerski.

Życie towarzyskie w jesieni i w zimie szło w Kielcach tym samym trybem co dawniej. Z rodzicami i rodzeństwem bywałem jak poprzednio u państwa Kosickich i Różyckich, w stałe dni ich przyjęć w niedziele i wtorki. Bywałem też sam czasem u niektórych kolegów z mojej klasy: u Adasia Kalinki, Zyzia Krzyżkowskiego synów adwokatów, u Miecia Mieszkowskiego syna rejenta, Ecia czyli Eustachjusza Chronowskiego (który zmarł później dnia 17 maja 1916 r. w Krakowie, zapisując testamentem swój miljonowy majątek na cele dobroczynne). U kolegów tych informowałem się zwykle o lekcje zadane lub podręczniki szkolne. Odwiedziny te bywały dość rzadkie i krótkie Bliżej zaprzyjaźniłem się z Feliksem Holewińskim, synem adwokata, chłopcem inteligentnym, poważnym i częściej go odwiedzałem. Z jego przyjacielem i wspólnym kolegą naszym Olkiem Bierzyńskim najczęściej po lekcjach wracaliśmy razem we trzech, rozprawiając o sprawach ogólniejszych towarzyskich i szkolnych.

W klasie II-giej, wobec większego obycia się ze szkołą, nauki szły mi łatwiej, należałem do pierwszych uczniów i zasiadałem zawsze w pierwszej ławie, blisko nauczyciela i tablicy, na której kreślono kredą rysunki i wzory, co znacznie ułatwiało korzystanie z wykładów i skupienie uwagi. W języku francuskim pomagała mi mama, która znała go gruntownie; w matematyce zaś ojciec. Do przedmiotów matematycznych, abstrakcyjnych nie miałem zamiłowania. Natomiast geografja i nauki przyrodnicze zajmowały mię bardzo. Jako wychowany napół na wsi, byłem prawdziwem dzieckiem natury. Przyrodę i swobodę miłowałem nad wszystko. Na przechadzkach zbierałem zwykle minerały, w jakie okolice Kielc obfitują. Roślin mało zasuszałem, owadów nie zbierałem, bo zadawać im cierpienia sprawiało mi wielką przykrość, a kwiatami żywemi wolałem rozkoszować się wśród łąk, pól i lasów. Na oknach też słonecznych naszego mieszkania chodowałem w doniczkach różne piękne kwiaty pokojowe.

Z nauk geografja i historja zajmowały mię najwięcej. Kopjowałem i kreśliłem bardzo dokładnie i starannie mapy kolorowane farbami: obu półkul globu ziemskiego, wszystkich części świata i różnych krajów europejskich. Niecierpiałem tylko nieznośnej pstrokacizny Związku niemieckiego, którego mnóstwa księstewek zapamiętanie było istotnem utrapieniem mojem i wszystkich kolegów. Tem bardziej, że zarówno podręczniki geografji używane w szkole jak i nauczyciel nasz więcej wagi przywiązywał do podziałów administracyjno-politycznych niż do zobrazowania przyrody krajów i narodów. To też o całych Niemczech mieliśmy wyobrażenie bardzo chaotyczne i niecierpieliśmy ich mapy pstrokatej. Jako dzieci polskie słowiańskie nienawiść do wrogów niemców mieliśmy wrodzoną, odziedziczoną atawistycznie, od czasów pradawnych przedhistorycznych walk z germańcami, wyssaną z piersi matek.

W jesieni dziadkowie Piątkowscy z córką swą, a moją ciotką Justyną pojechali do Paryża, gdzie w dniu 6-tym października 1857 r. odbyły się zaślubiny cioci z emigrantem z roku 1848 Władysławem Yordanem, pułkownikiem tureckim, z którym była już dawniej zaręczona. Dla ułatwienia legalizacji tego aktu ślub odbył się w pałacu ambasady tureckiej. Po weselu państwo młodzi pojechali przez Marsylję morzem do Carogrodu, gdzie wuj Yordan miał dwa domy na przedmieściu Ferikiej, a dziadziowie wrócili przez Drezno do Zagórza. Mama otrzymywała wtedy częste listy od swoich rodziców, a potem od cioci Yordanowej.

Święta bożego narodzenia i Wielkiej nocy, czyli ferje zimowe i wiosenne, przeszły nam jak zwykle spokojnie i uroczyście w domu w Kielcach. Ojciec zajęty swojem urzędowaniem i zapracowany nad stosami akt sądowych, znajdował wszelako zawsze dość czasu, aby pomagać mi w trudniejszych lekcjach i zadaniach szkolnych. Do rysunków i kaligrafji miałem dość zdolności i moje zeszyty zapełniałem licznemi krajobrazami i kopjami map geograficznych.

Obok mnie siostrzyczka Marynia, 6-letnia dziewczynka, uczyła się początków czytania i pisania od mamy, a także języka francuskiego, w którym i mnie mama przychodziła z pomocą wmiarę potrzeby.

Braciszek 5-letni Władzio towarzyszył nam w przechadzkach, a najmłodsza siostrzyczka jednoroczna Hania chowała się zdrowo pod opieką niani, ładnej dziewczyny wiejskiej w krakowskim stroju ludowym.

Rok szkolny w klasie II-giej przebyłem pomyślnie i na popisie otrzymałem nagrodę: książkę francuską w bogatej oprawie złocistej, z pięknemi stalorytami ilustrującemi przygody młodego chłopca.

Na wakacje letnie pojechaliśmy, jak zwykle, do rodziców mamy dziadziów Piątkowskich, do Wielko-Zagórza pod Miechowem.

Wuj Bogdan, brat mamy, wziął mię znów zaraz pod swoją opiekę. Jeździliśmy prawie codzień konno w pole do żniwiarzy, na folwarki do Siedlisk i Strzeżowa, do dworu wuja w Charsznicy. Wiosłowanie łodzią po stawach w Zagórzu, przechadzki piesze na łąki, w pole i do lasów, zbieranie skamieniałości geologicznych w wąwozach skalnych, czytanie książek w chwilach odpoczynku — zajmowało czas pożytecznie i przyjemnie. Do czytania dostałem z bibljoteki dziadka dzieje Polski p. t. „Wieczory pod lipą“ Siemieńskiego, w szkołach bowiem podówczas historji polskiej wcale nie nauczano.

W Krakowie byłem znów parę razy z wujem Bogdanem, z którym zwiedzałem ponownie pomniki Wawelu i Katedry krakowskiej.

Po miłym wypoczynku wiejskim trzeba było wracać do Kielc w mury szkolne, do klasy III-ciej.

Sala klasy III-ciej mieściła się w budynku głównym pensjonatu Hillera, na I-em piętrze od frontu. Znów ubyło paru dawnych kolegów z klasy II-giej, którzy nie dostali promocji; przybyło kilku, którzy zostali na drugi rok w klasie III-ciej. Byli to już towarzysze poważniejsi, wyrostki 15-letnie; ja miałem podówczas dopiero lat 12. Profesorowie wykładali ciżsami co poprzednio. Tylko języka polskiego nauczał nowy profesor Przeorski Kwiryn zamiast Duchnowskiego. Do nauki języka francuskiego przybył p. Guy w miejsce p. Pfadta. Nauka szła zwykłym trybem, porządnie i systematycznie, pod czujnem zawsze okiem przełożonego. Jesień i zima 1858 roku przeszły cicho i spokojnie.

Wiosną 1859 r. wybuchła nagle wojna włoska. Dnia 29 kwietnia wojska austryjackie wpadły do Piemontu. W połowie maja cesarz francuski Napoleon III, na czele 150 000 armji wkroczył do Włoch, na pomoc królowi Wiktorowi Emanuelowi i jego nielicznym wojskom.

Ochotniczy legjon generała Garibaldiego dokonywał cudów waleczności, niepokojąc austrjaków w Lombardji. Wielkie zwycięstwa armji francuskiej i włoskiej szybko po sobie następowały. Bitwa pod Palestro 22 maja; krwawy bój pod Madżentą 4 czerwca, który ostatecznie złamał armję austryjacką; 8 czerwca tryumfalne wejście wojsk sprzymierzonych do Medjolanu.

Donośniej od huku dział i rozgłosu zwycięstw włosko-francuskich rozległo się echo odezwy cesarza Napoleona III wydanej w Medjolanie, która wywarła w całej Europie ogromne wrażenie. Zasada oswobodzenia narodowości podniesiona w niej była dobitnie i uroczyście. Entuzjazm i współczucie dla Włoch oswobodzonych i jednoczących się zataczały kręgi szerokie w całym świecie cywilizowanym. Po stanowczem zwycięstwie nad austrjakami w bitwie pod Solferino zawarty został pokój w Villafranca dnia 11 lipca.

Ojciec mój podówczas trzymał stale „Gazetę warszawską“, której telegramy i opisy zwycięztw włochów i francuzów codziennie chciwie czytałem. Poraz to pierwszy widnokrąg myśli moich rozszerzył się poza sprawy domowo-krajowe. Ogólny entuzjazm i współczucie z oswobodzeniem Włoch porywały mię gorąco. Na placu mustry, naprzeciw okien naszego mieszkania, muzyka wojskowa grywała prawie codzień piękny marsz Garibaldiego. Przy jego akompanjamencie przeglądałem plany bitew i widoki walk włoskich w „Illustration“ francuskiej którą ojciec na czas wojny zaabonował.

W odcinku „Gazety warszawskiej” czytałem też z wielkiem zajeciem piękną powieść Jeża (Miłkowskiego) „Szandor Kowacz“ osnutą na tle rewolucji węgierskiej. Po dziecinnym „Robinsonie“

była to druga powieść, która wywarła na mnie również duże wrażenie i rozszerzyła znacznie sferę umysłową, rozbudziła miłość swobody, wolności oraz ducha buntu przeciw niewoli wszelakiej....

W czerwcu 1859 r. zwiedzał szkoły kieleckie jako wizytator rządowy Józef Korzeniowski. D. 10 i 11 egzaminował uczniów w Szkole realnej, o której wydał opinje przychylne i pochwalne. Jednocześnie zwiedził też i nasz pensjonat, egzaminował wszystkie klasy kolejno, i wyraził przełożonemu naszemu Hillerowi i nauczycielom swoje uznanie i podziękowanie za ogólny ład, porządek i uczniów dobre postępy w naukach.

Na cześć znakomitego powieściopisarza i dramaturga w teatrze miejscowym kieleckie koło lubowników sceny urządziło uroczyste przedstawienie amatorskie, na którem odegrano między innemi komedję Korzeniowskiego „Wąsy i peruka", przy czem stroje narodowe polskie, kontusze i karabele nasze wywołały ogólny entuzjazm. Autor był też owacyjnie i gorąco oklaskiwany. W tym ogólnym nastroju czuć było silne powiewy z pola walk za oswobodzenie Italji i narodu włoskiego, już po zajęciu Medjolanu przez wojska włoskie i francuskie.

W lecie, podczas upałów w tej zwykłej porze pogorzeli, podczas wieczornej kolacji, w oknach naszych od podwórza ukazał się czerwony blask łuny i rozległy się krzyki: gore! gore!! Pożar powstał nagle w domu sąsiednim od ulicy Wesołej. Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi. Ojciec z mamą i służącą zaczęli pakować pośpiesznie rzeczy cenniejsze. Mama ze mną, dziećmi młodszemi i pierwszym pakunkiem ze służącą pośpieszyła schronić się do pobliskiej Dyrekcji Towarzystwa kredytowego ziemskiego przy ulicy Leonarda, do prezesostwa Różyckich, dawnych dobrych znajomych, wielce zacnych ludzi, którzy udzielili nam przytułku i dali swoją służbę do pomocy. Ja zostałem tam z rodzeństwem, a mama ze służbą pośpieszyła znów do naszego mieszkania, gdzie ojciec pakował coraz więcej rzeczy, a ludzie je przenosili. Na szczęście niezadługo pożar ugaszono. Za dnia rzeczy nasze napowrót do domu przeniesiono i pomału wszystko się uporządkowało. Ja nazajutrz o zwykłej porze pośpieszyłem do szkoły, aby nie mieć przerwy w nauce.

Mieszkanie nasze pierwsze w Kielcach, na rogu ulicy Pocztowej i Wesołej, naprzeciw Teatru Lardelego, było wogóle zimne, zwłaszcza salon położony nad dużą bramą wjazdową. W podwórzu było mnóstwo zabudowań drewnianych, w których mieściły się zwykłe drwalnie, a także wielki skład wojskowy broni i innych przyborów. W sąsiednim domu przylegały tuż obok podobne zabudowania drewniane stare, w których właśnie powstał ów pożar. Wszystko to skłoniło ojca mego do zmiany mieszkania na lepsze i bezpieczniejsze. Po ukończeniu roku szkolnego i klasy III-ciej z promocją do IV-tej, z rozpoczęciem

wakacyj w pierwszych dniach lipca 1859 r. przenieśliśmy się do nowego mieszkania przy ulicy Dużej do domu Szubskiego.

Ulica Duża należała wówczas do głównych arteryj Kielc. Położona w środku miasta łączy Rynek stary z Placem kościelnym czyli Rynkiem małym. Z domu Szubskiego ojciec miał krótszą drogę do Trybunału w dawnym Zamku biskupim, mama bliżej do kościoła, gdzie lubiła chodzić wcześnie zrana prawie codzień; a ja niewiele dalej do szkoły. Przechadzka do niej dalsza nieco, kilka razy tam i z powrotem była zdrowa dla ucznia, który musi siedzieć po parę godzin bez przerwy na lekcjach.

Dom Szubskiego leżał wpośrodku między Placem kościelnym a ulicą Pocztową; był to dom przechodni. Od ulicy Dużej mieliśmy wejście do mieszkania przez długi pasaż na parterze, z drzwiami od ulicy na podworzec wązki, prowadzący między oficyną a drwalniami do bramy w drugim domu piętrowym tegoż gospodarza, stojącym przy ulicy Małej, która biegnie równolegle do Dużej takoż od Rynku głównego do Placu kościelnego.

Mieszkanie nasze w domu frontowym od ulicy Dużej mieściło się na piętrze, na które prowadziły osobne schody, należące wyłącznie do nas. Z sieni nalewo była kuchnia widna i czysta. Naprawo wejście do jadalni z dużem weneckiem oknem od podwórza; z niej do frontowego pokoju ojca, następnie do salonu z balkonem. Stąd do pokoju sypialnego mamy, który łączył się z jadalnią. Ja sypiałem na otomanie w pokoju ojca, młodsze rodzeństwo w sypialni mamy. Mieszkanie to było nieco szczuplejsze, ale cieplejsze i rozkład miało lepszy. Z sieni schody wązkie prowadziły na strych do suszenia bielizny, wyłącznie do nas należący. Prócz tego mieliśmy piwnicę i drwalnię w podwórzu.

Po urządzeniu się na nowem mieszkaniu na początku wakacyj szkolnych, w pierwszych dniach lipca, ojciec wybrał się ze mną na parę dni w Góry świętokrzyskie dla rozrywki i zwiedzenia tej pięknej a bliskiej części kraju. Po drodze wstąpiliśmy do wsi Leszczyn, do krewnego naszego p. Chmielewskiego, i dalszą drogę odbyliśmy jego końmi. Przez klasztor franciszkanek przy kościele św. Katarzyny pod górą Łysicą, pod wieczór przybyliśmy do miasteczka Nowej Słupi. Po noclegu w domu mieczczańskim, wcześnie zrana udaliśmy się pieszo na szczyt Świętokrzyski, zwiedzić dawny klasztor i kościół starożytny. Widok z wysokiej wieży na rozległą okolicę aż po Tatry, przy pięknej pogodzie słonecznej, był wspaniały. Powróciwszy drogą boczną przez bór prastary do Słupi Nowej, pojechaliśmy dalej przez miasteczko Bodzentyn, dla zwiedzenia ruin pałacu biskupów krakowskich, a późnym wieczorem stanęliśmy szczęśliwie w domu.

Mama tymczasem przygotowała wszystko do wyjazdu na całe wakacje na wieś, do Zagórza do dziadków. Po wycieczkach gospodarczych w pola i na folwarki z wujem Bogdanem, wy-

braliśmy się znów na kilka dni do Krakowa. Potem z babcią Piątkowską do wsi Imbramowice wpobliżu Miechowa w odwiedziny do ksieni tamecznego klasztoru Norbertanek, które prowadziły szkołę i pensjonat żeński. Mama później oddać tam miała na naukę moją siostrzyczkę najstarszą Marynię. W Czaplach Wielkich babcia odwiedziła po drodze panią Popielową (matkę kanonika kieleckiego Wincentego Popiela) staruszkę bardzo miłą, o srebrnowłosych puklach ułożonych na skroniach według dawnej mody. W dzień gorący po południu podano na nasze przyjęcie wyborne lody cytrynowe. Potem gdy panie zajęły się rozmową na werandzie, ja biegałem po ślicznym starodawnym ogrodzie, ze stawem drzemiącym jak zwierciadło wpośród gęstych szuwarów i zarośli. Pod wieczór już o chłodzie wróciliśmy do Zagórza.

Wakacje przeszły prędko. I znów z mamą i młodszem rodzeństwem wróciliśmy wypoczęci do Kielc; a ja do dawnych zajęć i pracy szkolnej w klasie IV-tej w r. 1859/60.

Sala klasy IV-ej mieściła się w głównym domu na I-em piętrze od dziedzińca, obok gabinetu czyli kancelarji naszego przełożonego Hillera. Spokojnie też tam było i nauki szły w ładzie, bo i koledzy już poważniejsi byli i nieco mniejsza ich liczba jak w klasach niższych. Ubywało bowiem po kilku corocznie bez promocji.

Jako miłośnik kwiatów od dzieciństwa, chodowałem na balkonie naszego mieszkania mnóstwo pięknych roślin pokojowych, które na zimę przenosiłem na duże okno słoneczne w salonie z szeroką deską.

W jesieni 1859 r. dnia 12 października przyszedł na świat drugi braciszek mój Miecio czyli Mieczysław. Chrzcił go kanonik kielecki ks. Wincenty Popiel (później arcybiskup warszawski) znajomy rodziców moich jako sąsiad dziadków w Czaplach Wielkich pod Miechowem.

Drugi braciszek mój Władzio, podówczas 7-letni, przygotowywał się do szkół; uczył go ojciec w domu. Siostrzyczkę starszą 8-letnią przygotowywała mama i udzielała jej też początków gry na fortepianie.

Prezes Trybunału kieleckiego radca stanu Kosicki, rozporządzeniem z dnia 19 października 1859 roku, przeznaczył ojca mego, podówczas asesora, do pomocy t. zw. prokuratorowi królewskiemu przy trybunale (w miejsce odwołanego od tego zajęcia asesora Tomasza Uniszewskiego). Obrońcą Prokuratorji Królestwa polskiego przy Trybunale kieleckim był mecenas Bronikowski (przyjaciel naczelnika powiatu kieleckiego Zielińskiego, który umierając zapisał mu swoją galerję obrazów, bibljotekę i zbiory archeologiczne). Mecenas Bronikowski mieszkał naprzeciwko nas (przy ulicy Dużej, w domu księgarza Możdżeńskiego) przyjaźnił się z ojcem moim i często chodził z nami razem na przechadzki. Przy ówczesnej procedurze sądowej przeważnie pi-

semnej, ojciec miał ciągle dużo pracy z ogromnemi foljałami akt sądowych, które woźny przynosił do naszego mieszkania. Obszerne relacje, wnioski prokuratorskie i rozpatrywanie spraw zawiłych nieraz, wymagało dużo mozolnej pracy.

Święta bożego narodzenia przepędziliśmy jak zwykle w Kielcach, na nowem mieszkaniu. Dziatwa miała dużą choinkę świerkową, którą ubierałem z mamą mnóstwem drobiazgów błyszczących, ślicznych jabłuszek przywiezionych z Zagórza, orzechów pozłocistych, fig, cukierków i t. p. U dołu leżały zabawki rozmaite oraz książeczki z obrazkami barwnemi. Liczne świeczki woskowe zapalone w wieczór wigilijny czyniły z choinki widok czarodziejski, a wielką uciechę dla nas małych ludzi.

Dnia 21 stycznia 1860 roku prezes Trybunału kieleckiego p. Kosicki zawiadomił ojca mego, że Komisja rządowa sprawiedliwości w Warszawie, w zastosowaniu się do artykułu 207 Ustawy o służbie cywilnej w Królestwie polskiem z dnia 10/22 marca 1859 r., oraz art. 1 Postanowienia księcia namiestnika z dnia 11/23 listopada tegoż roku w rozwinięciu pomienionej ustawy wydanego, zatwierdziła ojca na zajmowanym dotychczas urzędzie asesora Trybunału, reskryptem z dnia 2/14 listopada 1859 r. Przy zawiadomieniu owem dołączono kopję rzeczonego reskryptu Komisji sprawiedliwości, który podpisali: urzędujący podówczas dyrektor główny prezydujący tajny radca senator Drzewiecki, oraz dyrektor kancelarji komisji sprawiedliwości radca stanu J. Ornowski.

W ostatniej klasie IV-tej w zakładzie naukowym Hillera pracy było sporo pod koniec roku. Egzamin ściślejszy na patent wymagał większych przygotowań.

W końcu czerwca dnia 25 po południu odbył się popis, czyli akt uroczysty zakończenia roku szkolnego w głównej sali frontowej naszego instytutu. Przybyli oficjalnie: inspektor Szkoły realnej Formiński, naczelnik powiatu kieleckiego Tański, regens seminarjum duchownego ks. J. Gawroński, wszyscy nauczyciele, rodzice, krewni i znajomi uczniów z miasta i okolicy. Były też jak zwykle: deklamacje poezji polskich, francuskich i niemieckich, liczne kartony rysunków kredkowych i technicznych, arkusze kaligraficzne i t. p.

Ja miałem przemowę pożegnalną do przełożonego, profesorów i kolegów.*)

---

*) W lat 34 potem, w r. 1894 przełożony nasz, pomimo że dorobił się znacznego majątku, popełnił samobójstwo. Warszawski „Dziennik dla wszystkich" z dnia 19 maja 1894 r. nr. 113 na str. 5, w korespondencji z Kielc pisał: „Długoletni kierownik szkoły prywatnej męskiej, znany powszechnie w mieście i okolicy p. Herman Hiller, w tych dniach, trzema wystrzałami z rewolweru, odebrał sobie życie. Samobójstwo 75-letniego starca, co żywot cały spędził użytecznie na wychowaniu młodzieży, obudziło niemały podziw, tem więcej, że stan majątku Hillera nie pozostawiał nic do życzenia..." Przyczyną nieszczęścia było podobno drugie ożenienie się, w podeszłym już wieku denata, z młodszą znacznie, bardzo interesowną kobietą...

Patent wydany mi z ukończenia klas 4-ch w „Instytucie naukowym wyższym“ Hermana Hillera w Kielcach, na blankiecie formatu foljo kancelaryjne, drukowany w dwóch językach ruskim i polskim w dwóch kolumnach obok siebie, w obwódce z narożnikami ozdobnemi, miał wpośrodku ówczesny herb państwowy Królestwa polskiego: orzeł dwugłowy czarny rosyjski z tarczą na piersiach z orłem białym polskim z koroną na głowie.

Patent ów wymieniał przedmioty wykładane w ostatnim roku w klasie IV-tej, do których należały: nauka religji i moralności, języki: polski, ruski, łaciński, niemiecki i francuski, arytmetyka i algebra, geometrja i solidometrja, nauki przyrodnicze geografja, historja powszechna i ruska, wreszcie kaligrafja i rysunki. Patent zaznacza wiek mój lat 13 i sprawowanie wzorowe, nosi datę podwójną 13/25 czerwca 1860 r., i podpisany jest przez obecnych na popisie: inspektora Szkoły realnej Formińskiego, naczelnika powiatu Tańskiego, regensa seminarjum ks. Gawrońskiego. Dalej obok pieczęci Instytutu z herbem przełożonego Hermana Hillera i jego podpisu, dokument ów podpisali też wszyscy nauczyciele nasi ówcześni: ks. Brudzyński (nauczyciel religji), Przeorski (języka polskiego), Jezierski (j. ruskiego), Kroemer (łacińskiego), G. d' Humblet i Pfadt (j. francuskiego), Sobczyk (niemieckiego), Feliks Wermiński (matematyki), Święcicki (geografji i historji), Edward Plewiński (nauk przyrodniczych), wreszcie Górnicki (rysunków i kaligrafji).

Po zakończeniu aktu uroczystego, po pożegnaniu z przełożonym, profesorami i kolegami, utrudzony nieco tym całym ceremonjałem, wybiegłem z murów szkolnych z prawdziwą przyjemnością na słońce, na powietrze i swobodną przechadzkę wieczorną po bujnym cienistym ogrodzie publicznym. Czułem się jak ptaszę co wyfrunęło z ciasnej klatki do lasu.

W czasach szkolnych dla ucznia egzamin doroczny, zwłaszcza w owej surowej epoce, był czemś przygnębiającem. Przepracowanie umysłowe i niewywczas fizyczny oddziaływały przykro na cały nastrój duchowy. Ukończenie pomyślne egzaminów szkolnych przynosiło zawsze uczucie wielkiej ulgi i wyswobodzenia, mimo że nie należałem wcale do tak zwanych „kowali“ pamięciowych, nigdy nie „kułem“ lekcji i kursów, lecz starałem się samodzielnie wszystko zrozumieć gruntownie i objąć wszechstronnie. Wszelako ówczesny system egzaminacyjny, a nawet wogóle cała pedagogja szkolna były dla uczniów nawet zdolnych uciążliwe i bardzo męczące.

Wakacje też powitałem z roskoszą, tem większą, że ojciec w nagrodę ukończenia przeze mnie nauk w zakładzie 4-klasowym Hillera, postanowił odbyć ze mną podróż w Tatry. Do przedsięwzięcia tej pięknej wycieczki zachęcił nas malowniczy opis Tatr we współczesnej książce Steczkowskiej, który z wielkiem zajęciem zawczasu przewertowałem.

W kilka dni po akcie uroczystym zakończenia roku szkolnego w zakładzie Hillera, ojciec mój otrzymał zawiadomienie od prezesa Trybunuła kieleckiego, z dnia 25 czerwca 1860 r., że warszawska Komisja rządowa sprawiedliwości, reskryptem z dn. 20 czerwca, na podstawie zezwolenia Rady administracyjnej z d. 12 t. m., udzieliła ojcu urlop na cały miesiąc feryjny do wód mineralnych w Szczawnicy.

Ówczesna polityka rusyfikacyjna i reakcyjna w Królestwie polskiem ścieśniała niezmiernie swobodę urzędników polaków, a co do wyjazdów za granicę także i mieszkańców cywilnych. Dla tego starania o pasporty zagraniczne uzasadniać trzeba było koniecznie potrzebą kuracji w kąpielach mineralnych, świadectwami lekarzy o „konieczności poratowania zdrowia“ i t. p.

Jednocześnie z zawiadomieniem o udzieleniu urlopu miesięcznego otrzymał ojciec także i pasport zagraniczny. Dokument ów, zachowany w tece „Aktów osobistych“ ojca mego, drukowany jest na arkuszu formatu kancelaryjnego papieru stemplowego w dwóch językach: na karcie 1-ej po rusku, na 2-giej po niemiecku w przekładzie dosłownym. Na str. 1 na obu rogach ugóry odbite są dwa stemple czyli pieczęcie koliste. Pierwsza po lewej stronie z orłem dwugłowym ruskim wpośrodku, z napisem w otoku odgóry ruskim „90 kopiejek“ udołu polskim „kop. dziewięćdziesiąt“. Druga pieczęć po stronie prawej z koroną cesarską a pod nią cyfra A. II panującego podówczas cesarza Aleksandra II-go. Między temi dwiema pieczęciami stemplowemi figuruje wpośrodku duży herb Królestwa polskiego: orzeł czarny dwugłowy z tarczą na piersiach obejmującą orła białego jednogłowego z koroną królewską. Pod herbem owym w nagłówku pasportu napis: „Po ukazu ego Wieliczestwa Gosudaria Imperatora Aleksandra Nikołajewicza samoderżca wsierossijskago i procz“. Dalej krótki zwykły tekst pasportu: że na zasadzie decyzji Pana Namiestnika w Królestwie polskiem dozwala się na wyjazd do Szczawnicy na miesiąc jeden okazicielowi p Estachemu Czarnowskiemu (wieku lat 42) z synem Stanisławem (wieku lat 13). Z boku rysopis, pod spodem data 14/26 czerwca 1860 r. i podpis: *Paniutyn.* Obok tego podpisu własnoręcznego — cała tyrada tytułów tego pana (co najkomiczniejsze) z wyszczególnieniem też z tuzina orderów i odbiciem pieczęci herbowej owalnej, przedstawiającej krzyż równoramienny z tarczą wpośrodku, obejmującą dużego byka. A więc tytuły: „Jego cesarskiej Wielkości Pana mojego najmiłościwszego: generał adjutant, generał od infanterji, szef Aleksopolskiego pułku piechoty, zaliczony do Siemionowskiego pułku lejbgwardji, generał gubernator wojenny warszawski, senator członek rady administracyjnej Królestwa polskiego i kawaler orderów: św. Jerzego klasy III, św. Włodzimierza kl. I z mieczami, św. Aleksandra newskiego z mieczami ozdobionego szmaragdami, Orła białego, św. Anny kl. I napisem „za chrabrost'“, po-

siadacz polskiej odznaki wojennej klasy II, znaku nieskazitelnej służby za lat XL; oraz kawaler orderów zagranicznych austryjackich: Marji Teresy, wielkiego krzyża Leopolda i Korony żelaznej kl. I; pruskich: Orła czerwonego kl I z brylantami, orderu wojskowego „Pour le merite", znaku Krzyża żelaznego, oraz niderlandzkiego orderu wojskowego Wilhelma orańskiego. Cała ta litanja, jako świadectwo płaskiej próżności takiej marnej zielonej małpy, odbita drobnym drukiem, zajmuje w owym pasporcie tyleż miejsca co właściwy cały tekst onego. Co kogo mogła obchodzić ta drobiazgowa samoreklama krom samochwalcy?

Druga karta owego pasportu, takoż z herbem rządowym w nagłówku, obejmowała to wszystko co pierwsza, z ową całą litanją tylko naturalnie w języku niemieckim. Na drugiej stronie karty pierwszej odgóry mieści się stempel w języku niemieckim wizy Ces. Król. generalnego Konsulatu austryjackiego w Królestwie polskiem, na wyjazd do Austrji, z datą w Warszawie d. 27 czerwca 1860 r., z pieczęcią konsulatu i podpisem ręcznym: Tustanowski.

Po otrzymaniu tych niezbędnych do wąjazdu dokumentów urlopu ojca i pasportu, przygotowaliśmy wszystko do podróży, i jak zwykle powozem przysłanym przez rodziców mamy, wyjechaliśmy na całe wakacje do Wielko-Zagórza pod Miechowem.

Mama z młodszem rodzeństwem pozostała na wsi u dziadziów. Wuj Bogdan, zawiadomiony zawczasu przez ojca o naszym projekcie podróży w Tatry, wybrał się razem z nami, swojemi końmi i wygodnym wózkiem do Krakowa.

Za miasteczkiem Słomnikami zaskoczyła nas nagle burza z ulewą wielką. Na szczęście dopędziliśmy szybko do domu dróżnika szosowego, i tam schronili przed zmoknięciem Konie też z wózkiem wjechały na boisko do stodoły. Dzień był gorący więc wszystko prędko obeschło.

Przez komorę graniczną w Michałowicach przejechaliśmy naczas w dniu 14 lipca 1860 r, jak o tem świadczy pieczęć komory i adnotacja urzędowa na pasporcie.

W Krakowie, jak zwykle stanęliśmy w „Hotelu saskim", będącym własnością p. Cezarego Hallera, dziedzica pięknych dóbr Mianocice pod Miechowem, a przez to sąsiada i dobrego znajomego dziadków naszych Piątkowskich.

Przed wieczorem jeszcze udaliśmy się na Kleparz, gdzie w zajeździe popasali furmani górale, przywożący do Krakowa wino z Węgier. Z jednym z nich ojciec umówił się, bardzo tanio, o jazdę do Zakopanego, i w biurze hotelu wziął od niego zadatek na pewność, że nazajutrz raniutko zajedzie po nas.

Jakoż po wczesnem śniadaniu stawił się nasz furman punktualnie na ulicy Sławkowskiej. Pogoda była prześliczna, słoneczna, dzień lipcowy gorący. Wóz góralski obszerny z półkoszkami miał siedzenia wygodne. Od słońca chroniło pokrycie z płótna

na pałąkach, czyli rodzaj budki płóciennej nad połową wozu. Po ułożeniu pakunków ojciec z wujem zajęli siedzenia główne, ja umieściłem się na przedniem czyli na koźle obok woźnicy. Przez Podgórze za Wisłą jechaliśmy dalej doskonałą szosą do miasta powiatowego Myślenic, położonego nad rzeką Rabą. Stąd traktem wijącym się ciągle nad brzegami tej rzeki, doliną malowniczą, wśród zieleni bujnych łąk i pól. Pod wieczór przybyliśmy do wsi Lubień, gdzie w połowie naszej drogi furman postanowił przenocować, by konie wypoczęły dobrze do dalszej drogi jeszcze bardziej górzystej. Nazajutrz o świcie za chłodu ruszyliśmy dalej, okalając góry Luboń mały i wielki (wyniosłe nad poziom morza metrów 870 i 1023). Konie wypoczęte szły rączo. Niebawem na południe przybyliśmy do Nowego Targu, ładnego miasteczka powiatowego. Po obiedzie ja zostałem w zajeździe przy rzeczach. Ojciec z wujem poszli poczynić zakupy zapasów żywności potrzebnej w Zakopanem, gdzie podówczas nie było wcale hotelu ani żadnej restauracji. Do kosza podróżnego, odpowiedniej wielkości, upakowało się: sześć bochenków chleba, szynkę wędzoną, kiełbasy, sardynki, woreczki z kaszą i mąką, herbatę, kawę paloną, cukier, cytryny, pomarańcze, sery, butelkę białego rumu, kilka butelek białego wina węgierskiego, sól, pieprz do jaj i t. p.

Z Nowego Targu, śliczną doliną Dunajca białego, przez wieś Poronin, dojechaliśmy szczęśliwie do Zakopanego w sobotę wieczorem, przebywszy od Krakowa mil przeszło 14-cie.

O zmroku już podjechaliśmy pod plebanję, obok skromnego kościołka drewnianego. Proboszcz ówczesny ksiądz Stolarczyk, mężczyzna poważny, tęgi, wysoki, powitał nas uprzejmie, posłał po organistę i polecił mu dać nam pokój gościnny na Organistówce, po drugiej stronie kościołka w skromnym domku drewnianym.

Pokój to był nieduży, bielony wapnem, czyściutki i zaciszny. Złożyliśmy nasze pakunki; ojciec zapłacił furmana poczciwego słowaka, który też miał przenocować w Zakopanem. Na podwieczorek przyniesiono nam wyborne mleko. Po małej przechadzce po wsi, nasyciwszy oczy wspaniałym widokiem gór po zachodzie słońca, legliśmy na świeżem sianie w naszej izbie, by wypocząć po trudach podróży dwudniowej.

Nazajutrz wczesnym rankiem, po śniadaniu, wyszliśmy przed kościół. Niedziela to była słoneczna, pogodna, ciepła. Wietrzyk łagodny przynosił woń kwiecia lipcowego z dolin i łąk bujnych, różowych od dzikich mieczyków.

Przed kościołem gromadki górali i góralek w barwnych strojach wiejskich, czekały w słońcu na świąteczne nabożeństwo. Dwóch ślicznych chłopców góralskich blondynek i brunet służy do mszy przed wielkim ołtarzem, wyrzeźbionym przez majstrów zakopiańskich.

Po nabożeństwie za przewodnika zgodził się z nami Szymon Tatar, młody wówczas jeszcze góral, słynny później długo jako dzielny taternik na wyprawach górskich turystycznych. Dnia tego zwiedziliśmy Dolinę kościeliską aż do Skały pisanej.

Nazajutrz w poniedziałek poszliśmy do Kuźnic czyli Hamrów, jak nazywają górale, oraz do dworu i ogrodu ówczesnego dziedzica Zakopanego pana Homolacza.

Wieś Zakopane, małoludna podówczas, składała się z szeregu chat i stodółek, rozrzuconych grupami malowniczo. Ubogie zagrody ocieniały kępy jesionów i olch wysmukłych. Domki jednak zamożniejszych gazdów, kryte dranicami, zbudowane staranniej i stylowo w szczegółach, wyróżniały się pośród chatek pomniejszych.

We wtorek przewodnik nasz stały Szymon Tatar zgodził wózek góralski parokonny, i pojechał z nami do Morskiego Oka przez wieś Bukowinę. Po drodze spotkaliśmy drugi wózek z trzema turystami, którym towarzyszył głośny później za czasów doktora Chałubińskiego przewodnik Jędrzej Wala, skrzypek zakopiański. Dowiedzieliśmy się od niego, że jego trzej goście i my trzej byliśmy owego lata 1860 r. jedynymi turystami z Polski w Tatrach.

Droga do Morskiego Oka w dolinie rzeczki Białki, stanowiącej tu granicę od Węgier, była napół dzika podówczas i trudna do jazdy, nawet góralskim wózkiem. To też nieraz schodziliśmy idąc pieszo po zwałach głazów i kłodach obalonych, przeskakując liczne strumienie górskie.

Późnym wieczorem o zmroku dotarliśmy do brzegu czarownego jeziora górskiego. Morskie Oko drzemało już przysłonięte lekkim oparem nocnym wpośród skał stromych ponurych. Wózek nasz podjechał pod schronisko turystów. Była to szopa drewniana w rodzaju stodoły, kryta deskami czyli dranicami. W pierwszej izbie czyli sieni nasi górale umieścili konie przy żłobie, zasypali im obrok, i nałożyli siana za drabinkę.

Na kamiennem palenisku wpośrodku sieni rozniecili ogień z suchych gałęzi, i przynieśli wody w kociołku na herbatę. Posiliwszy się należycie i poczęstowawszy naszych przewodników, poszliśmy na spoczynek do wielkiej izby gościnnej obok sieni. Ojciec opatrzył okiennice zastępujące szyby i postanowił czuwać z góralami przy ognisku w sieni do północka. Ja z wujem Bogdanem położyliśmy się spać w ubraniu na sianie nasłanem obficie na ziemi. O północy wuj Bogdan zbudzony przez ojca, zasiadł przy ognisku, a ojciec położył się wypocząć i przespać do rana.

O świcie wstaliśmy żwawo wszyscy spragnieni wspaniałego widoku na jezioro i góry przyległe o wschodzie słońca. Na wybrzeżu między limbami leżał jeszcze gruby płat śniegu od zimy, niestopniały. Zaczęliśmy z wujem robić śnieguły

i obrzucać się wzajem, unikając zręcznie pocisków. W tem nagle niebo zaczęło pokrywać się chmurami. Na przeciwległym brzegu Morskiego Oka zpośród skał wysuwały się zwolna napół przezroczyste tumany mgły, która wkrótce zasłoniła całe jezioro i góry sąsiednie. Nadomiar złego drobny deszczyk zmusił nas schronić się pod dach szałasu. Rozgrzawszy się napredce herbatą z cytryną i rumem, spakowaliśmy tobołki i ruszyliśmy z powrotem do Zakopanego Deszcz nie ustawał. Droga była bardzo ślizka. Mgła gęsta nie dozwalała nic widzieć o kilka kroków. W obawie obalenia wozu musieliśmy często schodzić, przebywając znów pieszo miejsca najgorsze do jazdy. Po krótkim popasie we wsi Bukowinie dotarliśmy wreszcie pod wieczór do domu, czyli do naszej Organistówki.

Nazajutrz niebo pokryło się gęstemi chmurami, deszcz lał bez przerwy. Czekaliśmy jeszcze kilka dni na pogodę napróżno. Wobec tego ojciec postanowił wyruszyć z powrotem.

Najęliśmy wózek góralski, i doliną Dunajca przez Nowy Targ, Czorsztyn, Krościenko przybyliśmy pod wieczór do Szczawnicy. Trafiliśmy na zjazd gości bardzo liczny. Wszystkie hotele, i mieszkania w dworkach były pozajmowane. Z wielkim trudem na skraju wsi w chacie góralskiej znaleźliśmy izbę na nocleg. Nasłano nam świeżej słomy i siana prosto ze stodoły. Rano wstawszy ujrzeliśmy nasze twarze i ciała w bąblach różowych, tak nas ścięły komary i różne robactwo polne w świeżej słomie zagnieżdżone. Umycie zimną wodą obfite ulżyło nam nieco. Zwiedziwszy źródła mineralne, park i zakłady kąpielowe szczawnickie, postanowiliśmy jechać w dalszą drogę, by uniknąć przykrego noclegu.

Przebywszy pod Starym Sączem ładny most drewniany na Popradzie, prawym dopływie Dunajca, zatrzymaliśmy się w Nowym Sączu, aby odespać za zły nocleg poprzedni i wypocząć lepiej na dalszą drogę. Przez miasto powiatowe Limanowę dojechaliśmy do Wiśnicza. Zwiedzanie wspaniałych ruin zamczyska zabrało nam tu kilka godzin. Oprowadzał nas i opowiadał dzieje ruin miły staruszek, mieszkający obok w małym domku.

Z Wiśnicza dojechaliśmy jeszcze końmi do Bochni. Stąd koleją w stronę Tarnowa do Wojnicza do państwa Dąbskich, dziedziców tego miasteczka, a krewnych wujostwa Yordanów. W pięknym pałacu, wśród rozległego parku, zastaliśmy siostrę mamy mojej Justynę, jej męża Władysława Yordana, z dziećmi: Geniem, Musiem (czyli Zygmusiem) i Jańcią pierwszą córeczką jedynaczką, ładną dziewczynką kilkoletnią. Ja z rodzeństwem ciotecznem zwiedzałem piękny park. Panowie, zamknąwszy się w gabinecie, rozmawiali długo w ciągu dnia i późno wieczorem o różnych sprawach krajowych i zagranicznych. Zbliżały się bowiem burzliwe lata manifestacyj politycznych u nas i przygoto-

wania powstańcze. Wuj Yordan, jako dawny emigrant, zawsze czynny w sferach politycznych, miał dużo do debatowania. Należał do stronnictwa zachowawczego i do sfer książąt Czartoryskich. Książe Witold Czartoryski, przebywając w Konstantynopolu, mieszkał czas jakiś w domu wuja Yordana na przedmieściu Ferikje. Dowiedziałem się o tem dopiero później. Bowiem podczas naszej podróży w Tatry, jako czwartoklasista chłopiec trzynastoletni, nie byłem wtajemniczany w rozmowy polityczne osób starszych.

Po krótkim pobycie w Wojniczu, w gościnnym domu państwa Dąbskich, odesłani przez nich powozem do kolei żelaznej, przybyliśmy wkrótce do Wieliczki. Tam wspólnie z grupą turystów zagranicznych zwiedziliśmy owe najwspanialsze w świecie kopalnie soli.

Po opłaceniu biletów wejścia i światła zeszliśmy do kopalni po wielkich wygodnych schodach. Obejrzeliśmy kaplicę z ołtarzem z soli, salę balową z pięknemi żyrandolami, olbrzymie komory solne oświetlane efektownie przez górników ogniem bengalskim. Wreszcie przebyliśmy promem jezioro podziemne. Wgórę wyciągnięto nas przez szyb głęboki liną nawijaną na wielki kołowrot, wśród ciągłej obawy przepaści zwiększającej się stopniowo pod naszemi nogami. To też z prawdziwą ulgą swobody wyszliśmy na światło dzienne, stanąwszy na twardej ziemi

Z Wieliczki pośpieszyliśmy tegoż dnia do Krakowa, na kilkodniowy odpoczynek po podróży i ponowne zwiedzenie pomników dziejowych i architektonicznych starej stolicy Piastów i Jagiellonów, gdyż ojciec poprzednio nie miał sposobności poznania tych zabytków. Wuj Bogdan był, jak zwykle, naszym przewodnikiem niestrudzonym.

Z Krakowa zrobiliśmy jeszcze jednodniową wycieczkę koleją żelazną, do Krzeszowic z pięknym parkiem i pałacem hr. Potockich, oraz do Czerny z starożytnym kościołem, w uroczej dolinie lesistej, ze strumieniem górskim szumiącym po zwałach skalnych.

Po powrocie do Krakowa ojciec sam wyruszył dnia 8-go sierpnia 1860 r. przez Szczakowę i Granicę do Warszawy dla odwiedzenia tam swej rodziny, a potem do domu do Kielc. Ja zaś z wujem Bogdanem końmi do Zagórza pod Miechowem, do dziadków na resztę wakacyj szkolnych.

Za podróż w Tatry i po Galicji zachodniej tak miłą i pouczającą, wdzięczny byłem ojcu memu niewypowiedzianie. Po zeszłorocznej naszej pierwszej większej wycieczce w Łysogóry, była owa druga podróż znacznem rozszerzeniem moich widnokręgów i wiadomości krajoznawczych. Zebrałem też i przywiózłem z sobą sporo okazów skał i minerałów tatrzańskich. Między niemi piękne odłamy wapieni numulitowych, czyli „skały

jarczanej“ jak nazywają górale, dla podobieństwa tych skamieniałości z ziarnami jęczmienia zwanego „jarzec“ w Tatrach. Zebrałem też przy drodze do Morskiego Oka głazy z porostem czerwonym o zapachu fiołków, w Wieliczce różne odmiany soli krystalicznej i wiele innych. Krom tego ułożyłem duży zielnik roślin tatrzańskich, który potem określałem i porządkowałem w chwilach wolnych od zajęć.

W Zagórzu u dziadków dni szybko schodziły na opowiadaniach, robotach gospodarskich i przechadzkach wiejskich.

Dnia 15 września 1860 r. odbył się w kościele miechowskim ślub cioci Eugenji, młodszej siostry mamy, z panem Piotrem Daniewskim 27-letnim inżynierem z Warszawy.

Przez całe lato kilku geometrów delegowanych przez warszawską Komisję skarbu, pod kierunkiem starszego inżyniera Pancera, wykonywało pomiary dóbr rządowych w powiecie miechowskim. Wszyscy mieli ziedzibę w Zagórzu w willi dziadka i stołowali się we dworze. Wuj Daniewski grywał na skrzypcach bardzo biegle duety fortepianowe z ciocią Eugenją, jeszcze jako starający się o jej rękę. Świetne wesele odbyło się w Zagórzu we dworze dziadków. Przybyli na nie rodzice pana młodego: pan Jakób Daniewski, dyrektor gimnazjum w Lublinie z żoną i dwiema córkami, bardzo zacni i mili ludzie. Wuj Daniewski otrzymał później wyższą posadę inżyniera w Zarządzie komunikacyj w Petersburgu i wyjechał tam z żoną na lat kilka. Później został inżynierem w rządzie gubernialnym w Radomiu, gdzie nabył dom z ogrodem i bardzo ładnie go urządził.

---

jarczanej" jak nazywają górale, dla podobieństwa tych skamieniałości z elementem jęczmienia zwanego „jarzec" w Tatrach. Zebrałem też przy drodze do Mnichowskiego łąka głazy z porostem czerwonym o zapachu fiołków, w Wilnczce także widziany pod kryształicznej i wiele innych. Krom tego ułożyłem duży zielnik roślin tatrzańskich, który potem uzupełniałem i porządkowałem w chwilach wolnych od zajęć.

W Zagórzu u włościanów dni szybko schodziły na spotkaniach, robotach gospodarskich i przechadzkach wiejskich.

Dnia 15 września 1880 r. odbył się w kościele miechowskim ślub cioci Eugenji, młodszej siostry mamy, z panem Piotrem Danilewskim 27-letnim inżynierem z Warszawy.

Przez całe lato kilku geometrów delegowanych przez warszawską Komisję skarbu, pod kierunkiem starszego inżyniera Pancera, wykonywało pomiary dóbr rządowych w powiecie miechowskim. Wszyscy mieli mieszkanie w Zagórzu w willi dziedzica i stołowali się we dworze. Wuj Danilewski grywał na skrzypcach bardzo ładnie duety fortepianowe z ciocią Eugenją, jeszcze jako starający się o jej rękę. Świetne wesele odbyło się w Zagórzu we dworze dziadków. Przybyli na nie rodzice pana młodego: pan Jakób Danilewski, dyrektor gimnazjum w Lublinie, z żoną i dwiema córkami. Bardzo zacni i mili ludzie. Wuj Danilewski otrzymał później wyższą posadę inżyniera w Zarządzie Komunikacyj w Petersburgu i wyjechał tam z żoną na lat kilka. Później został inżynierem w rządzie gubernjalnym w Radomiu, gdzie nabył dom z ogrodem i bardzo ładnie go urządził.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego".

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856) rzeź galicyjska i wojna węgierska.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1864) wojna włoska i powstanie styczniowe.

Pod prasą dalsze części:

V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1869 r.) Supiński, Büchner, Bukle.

VI. Wydawnictwa moje i aplikacja sądowa w Warszawie (1869 — 1873 r.), wojna francusko-niemiecka.

VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1880 r.), wojna bałkańska, Włodzimierz Spasowicz.

VIII. Czytelnia publiczna w Warszawie i I-sza podróż na Wschód południowy (1881 — 1883) wojna egipska.

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917) wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.) oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.